

Poznaj Świat

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

7
2012

Albiński, Mazurek, Rosiak
W numerze:

str. 54

PANAMA

Jądro ciemności

str. 12

MEKSYK

Koniec świata Majów

str. 22

WIELKA BRYTANIA

Był sobie Londyn

KADRY

VANUATU

str. 104





- Wybierasz się w podróż i nie masz jeszcze aparatu fotograficznego?
- Zastanawiasz się czy kupić kompakt, lustrzanke czy aparat z wymienną optyką?
- Chciałbyś wiedzieć, na co zwrócić uwagę podczas wyboru?
- Na te i inne pytania znajdziesz odpowiedź w wydaniu specjalnym Foto-Kuriera.
- Oprócz fotograficznego ABC prezentujemy specyfikacje i opisy najważniejszych cech **141 aparatów**

FOTO KURIER pismo użytkowników sprzętu foto i wideo
nieodłączny partner
w podróży



Do nabycia w dobrych salonach prasowych:
EMPiK, InMedio, Kolporter S.A., Relay, Ruch S.A.
i na www.foto-kurier.pl



Londyn str. 22



Oman str. 42



Neapol str. 62

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4**KONIEC ŚWIATA MAJÓW** str. 12

Na półwyspie Jukatan wierzą, że jedynym sposobem, aby weszło słońce, były tysiące wyrwanych, ludzkich serc.

Mariusz Barwiński

MIND THE GAP str. 22

Ten lakoniczny komunikat z londyńskiego metra można interpretować na wiele sposobów.

Marcin Kołpanowicz

TAM TAM I INNE KIERUNKI... str. 32

Felieton Dariusza Rosiaka

OBRAZY WUJKA BORKI str. 34

Wielu turystów kupuje obrazy Borysa Anatolijewicza, aby później biegać po Moskwie w poszukiwaniu tego, co uwiecznił swoim pędzlem.

Maciej Jastrzębski

TAM, GDZIE NIE MA RZEK str. 42

Niektóre z faladży, omańskich kanałów irygacyjnych, mają tysiące lat.

Ilona Pietrusiewicz

GEOSKOP str. 50**DARIÉN. JĄDRO CIEMNOŚCI** str. 54

Dzika dżungla porastająca ten panamski przesmyk do dziś utrudnia komunikację między Amerykami.

Tomasz Zakrzewski

SŁOŃCE I CIEŃ NEAPOLU str. 62

Europejska stolica chaosu, uosobienie wszelkich plag trawiących Włochy, a jednocześnie miasto pełne uroku i nobliwych zabytków.

Sebastian Szade

MAZUREK NA WYNOS str. 68

Felieton Roberta Mazurka

WZNIĘĆ SIĘ NA GDAŃSKIE WYŻYNY str. 70

Mało znana część Kaszub zachwyca przede wszystkim dziewiczą przyrodą.

Marek H. Kotlarz

NAVIGATOR str. 78**MURUGA LUBI RÓŻOWY** str. 82

Tamilskie święto Kawadia celebrowane się między innymi na Mauritiusie.

Jakub Kowalski

ZANIM OCHRZCZONO RZYM str. 90

Ormianie wierzą, że to w ich kraju odrodziło się życie po potopie, a koniec świata również nastąpi w Armenii.

Maria Giedź

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 98

Rozmowa z Urszulą Dudziak

BIAŁA CHUSTECZKA str. 100

Najnowsze opowiadanie Wojciecha Albińskiego

ŚWIAT W OBIEKTYWIE: VANUATU str. 104

Zatrzymane w czasie.

Magdalena Biskup

Z PERSPEKTYWY str. 110

Polska saga rodu Umeda.

Felieton Ryszarda Badowskiego

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 114**OUTDOOR** str. 116**POLSKA, KTÓREJ NIE MA** str. 120

NA OKŁADCE:
Blondynek
z Vanuatu

© STEFANO UNTERTHINER WŁOCHY, Żurawia doskonałość



Stefano Unterthiner (Włochy)

JAPONIA

**Żurawia
doskonałość**

NATURA W CZERNI I BIELI **WYRÓŻNIENIE**

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2011, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 6 LIPCA DO 29 LIPCA WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W MUZEUM PRZYRODNICZYM PRZY ULICY WOLNOŚCI 268 W JELENEJ GÓRZE.
WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL



Fotografowanie żurawi mandżurskich na Hokkaido jest łatwe. Ptaki pojawiają się codziennie o tej samej porze i wykonują tańce godowe przed setkami aparatów. Stefano postanowił stworzyć coś oryginalnego. Potrzebował jednak specjalnych warunków, aby obraz był czysty i elegancki. Chciał wykonać fotografię w odpowiednim zbliżeniu, by ukazać detale skrzydeł i stworzyć poczucie ruchu – odniesienie do słynnej choreografii. I w końcu, musiała zaistnieć synchronia. Powyższe ujęcie ma wszystkie te cechy. Ale Stefano twierdzi, że prawdziwą radością było obserwowanie tej „jednej z najpiękniejszych i najbardziej emocjonujących scen, jakie sobie można wyobrazić”.



Magdalena Musiał

KOSTARYKA

Za krakersa

Mała wiewiórka zgodziła się pozować w zamian za drobny smakołyk. Zdjęcie zostało wykonane przy wulkanie Poas.

Fotografia pochodzi z wystawy Magdaleny i Marcina Musiałów „Tańce wśród Piratów”, która będzie prezentowana od 1 do 31 lipca w warszawskim Klubie Traffic.

www.magdaimarcin.pl

Katarzyna Paczek

INDIE

Rytualnie obmyci

Sercem Amritsaru – świętego miasta sikhów – jest Złota Świątynia, w której kapłani w dzień i w nocy odczytują wersety świętej księgi – Granth Sahib. Codziennie tysiące pielgrzymów przybywają w to miejsce, by się pomodlić oraz dokonać oczyszczającego zanurzenia w wodach otaczającego świątynię „jeziora boskiego nektaru”.





Mariusz Nagieć

PERU

Słone zbiory

Kilka kilometrów na północ od miasteczka Maras znajduje się kompleks 5 tysięcy salin, z których od czasów Inków wydobywa się sól. Sieć kanałów rozprowadza silnie zmineralizowaną wodę do zbiorników. W słońcu woda wyparowuje i krystalizuje sól, którą wybiera się ręcznie z dna zbiornika.

Patrycja Frankiewicz

POLSKA

Plaża w Trzęsawcu. Jak zrobiono to zdjęcie?

No właśnie, jak? Z wyskoku? Z podnośnika?
Odpowiedzi prosimy przysyłać na adres redakcji.





Michał Słupczewski

POLSKA

Noc listopadowa

Orkiestra Wojskowa Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego "Reduta" podczas obchodów Święta Niepodległości na placu Zwycięstwa przed słupskim ratuszem.

Miasto Słupsk zwyciężyło w ogólnopolskim konkursie "Pokaż wreszcie co masz w mieście" organizowanym przez portal placekrow. Patronem medialnym konkursu był miesięcznik *Poznaj Świat*.

Michał Kozok

CHINY

Pola dla rolników i fotografów

Jedne z najbardziej znanych tarasów ryżowych znajdują się w okolicach miasta Yuanyang, w prowincji Yunnan. Wszystkie powstały dzięki pracy ludzkich rąk. Tarasy stanowią pola pod uprawę ryżu i powstrzymują erozję gór. Przyciągają wielu zagranicznych turystów i są doskonałym polem... do pracy fotografów. Przez dwa dni, które spędził tam autor, przykryte były mgłą, i do zdjęcia wyłoniły się tylko na kilka minut.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
(Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB).





FOT. MARCIN BARTOSZ

Mariusz Barwiński

KONIEC ŚWIATA MAJÓW





FOT. MARIUSZ BARWIŃSKI



Historia homo sapiens to historia rozwoju. Możemy szczycić się wielkimi odkryciami, postępem, który daje nam władzę nad światem. Jednak poszukując wiedzy i wyjaśnienia praw natury, ludzkość dopuszczała się takich zbrodni

i okrucieństw, że staliśmy się mistrzami zagłady i cierpienia. Szukając bogów, w pogardzie mieliśmy wszystko, co doczesne. Na półwyspie Jukatan wierzono, że jedynym sposobem, aby weszło słońce, były tysiące wyrwanych, ludzkich serc.

Spacerując po równo przyszytych trawie, wśród tropikalnych kwiatów i egzotycznych zapachów starożytnego miasta Chichén Itzá, odczuwam ulgę, że jestem tu dziś, a nie dawniej. Uśmiechnięci handlarze, raczej nieprzeróżającej postury, nie wyglądają na krwawych oprawców. Stoły ofiarne zamienili na stragany z bibelotami, a kult słońca na kurs dolara.

WIEDZA TAJEMNA

Chichén Itzá zajmuje stosunkowo niewielki obszar około 10 km² i nie była bynajmniej największym miastem Majów. Nie była także najbardziej okazała, ani najbardziej liczebna. Stanowiła ściśle centrum kultu religijnego ówczesnych Indian. Znajduje się tutaj około 2500 budowli o różnym przeznaczeniu i w bardzo różnym stanie. Większość z nich

to jedynie pozostałości, takie jak „Czerwony Dom” czy „Dom Jelenia”. Jedno z najważniejszych miejsc w całym kompleksie – „El Caracol”, czyli „Ślimak” – zachowało się jednak w przyzwoitym stanie. Jest to obserwatorium astronomiczne, w którym kapłani zdobywali swoją wiedzę, obserwując kosmos. Układy planet i gwiazd decydowały o życiu i śmierci tysięcy ludzi.

Spoglądając w niebo, Majowie nie robili niczego wyjątkowego, bo w górę patrzyły prawie wszystkie cywilizacje. Jednak u Egipcjan, Rzymian czy Greków widać doskonale drogę, jaką dane generacje przebyły, ucząc się i poznając otaczający świat. Osiągnięte rezultaty to owoc ciągłej pracy wielu pokoleń.

U Majów jest inaczej. Tu są gotowe, precyzyjne i perfekcyjne wyniki. Odległość Ziemi od Słońca – określona praktycznie co do kilometra. Czas obiegu Ziemi wokół Słońca – pomyłka tylko o siedem sekund. Skomplikowane obliczenia, działania na milionach z użyciem zera – zdefiniowali je kilka stuleci wcześniej niż my. Jednak nigdzie nie widać źródła pochodzenia tej wiedzy. To jest chyba największą tajemnicą cywilizacji Majów. Tym bardziej, że mowa tu o ludziach, którzy jednocześnie twierdzili, że Ziemia jest kwadratem pływającym po wielkim zbiorniku (przedstawiana była jako skorupa żółwia lub grzbiet krokodyla); znali też metal, ale narzędzia i broń wyrabiali z obsydianu, a koło służyło im tylko jako zabawka.

JAK MAJOWIE PATRZYLI W NIEBO

Ogromne czarne kamienie wulkaniczne polewali na lekko wklęsłe lustro, które dodatkowo polewali warstwą wody. Odbite w tym zwierciadle obiekty nanoszono skrupulatnie na mapy, które – opatrzone dokładną datą – odkładano do archiwum.

Ocalały jedynie trzy kodeksy, które są podstawą wiedzy o Majach. Jeden z nich znajduje się w Madrycie, drugi w Paryżu, a trzeci w Dreźnie. Ten ostatni, jako jedyny kompletny, zawiera bardzo dokładne obliczenia astronomiczne: daty zaćmień Słońca, które już miały miejsce i te, które dopiero nastąpią, tabele astrologiczne używane podczas rytuałów oraz



dokładny opis ruchu planety Wenus, która dla Majów była niezwykle ważna.

Po co zadawano sobie tyle wysiłku? Poprawne przeprowadzenie tak skomplikowanych działań jest trudne nawet z wykorzystaniem współczesnych komputerów. Znając wiele tajemnic i zagadek Majów, Erich von Däniken sugeruje w wielu swoich publikacjach, że poziom wiedzy ówczesnych Indian jest dowodem na to, że musieli oni korzystać

WODA NA KSIĘŻYCU?

Dla Majów wyspa Cozumel była ośrodkiem kultu bogini Księżycy. Krajobraz wybrzeża rzeczywiście wygląda nieziemsko.

ze wskazówek pozostawionych im przez cywilizację pozaziemską.

Majowie do odmierzania czasu używali dwóch kalendarzy. Jeden, roboczy, Haab, miał 365 dni i wyznaczał rytm pracy, czas zasiewów i zbiorów. Drugi, Tzolkin, liczył 260 dni i był kalendarzem rytualnym. Ten, kto miał pecha i przychodził na świat w dniu, w którym rodziły się tylko ofiary – był „hodowany” i psychicznie przygotowywany do ofiarnej śmierci na ołtarzu w wieku lat 16. Obecnie ogromną sensację wzbudza zapowiadany na dzień 21.12.2012 koniec świata, wiązany z zakończeniem pewnego cyklu w kalendarzu Majów. Jednak w ich zapisach dzień ten nie ma specjalnego znaczenia, a takie sekwencje występowały kilka razy nawet za ich życia. Upadek majańskiej cywilizacji nastąpił z całkiem innego powodu.

GŁODNY GĄSZCZ

Dżungla od setek lat pożera pozostałości wspaniałej kultury. W gęstych lasach Meksyku może kryć się jeszcze wiele tajemniczych budowli.

SERCE ZA RAJ

Rozpadało się. Półwysep Jukatan jest właściwie pozbawiony rzek. Dla Majów deszcz zawsze był niezwykle cenny i ważny. Jedynymi zbiornikami słodkiej wody na tych terenach są

głębokie studnie krasowe, zwane cenotami. Tworzą one często sieć rozległych podziemnych korytarzy, gdzie przez wiele kilometrów woda nie wypływa na powierzchnię. Indianie budowali miasta zawsze w pobliżu takich naturalnych zbiorników. Wiercono, że wiodą w zaświaty i w czasie suszy odprawiano przy nich rytuały ku czci boga deszczu Chaaca. Dla tego boga wyjątkową wartość miały ofiary z dzieci. Oględziny szkieletów wyłowionych przez archeologów świadczą o makabrycznych torturach, jakim poddawano ofiary. Można mieć nadzieję, że część z nich, jak miażdżenie czaszki, odcinanie zuchwy czy zdejmowanie skóry z twarzy, była już pastwieniem się nad zwłokami, a nie masakra żywych istot. Ciekawe, że jeszcze w latach 1970. traktowano Majów jako

miłujący pokój lud genialnych astronomów i wspaniałych budowniczych. Dziś wiele cenotów udostępniono turystom, a nurkowanie w jaskiniach jest jedną z największych osobliwości Meksyku. Faktycznie, można się tu poczuć jak w zupełnie innym świecie, choć lepiej nie myśleć, co może leżeć na dnie.

Kolorowy tłum turystów szybko przemyka pomiędzy kolumnami, uciekając przed deszczem. Jakże nie pasują do tego miejsca, które było ostatnią drogą dla idących na ofiarny ołtarz. To droga „Tysiąca kolumn” prowadząca na piramidę nazwaną „Świątynią Wojowników”, na której dokonywano rytuału poświęcenia człowieka bogom przez wyrwanie serca.



FOT. MARUSZ BARWIŃSKI



FOT. MARUSZ BARWIŃSKI



U Majów to, czy człowiek trafi do Xibalby (piekła), czy do Caan (kraj szczęścia), nie zależało od jego moralności, od tego, czy był dobry, czy zły, lecz od tego, jaką śmiercią umarł. Jeśli ktoś oddał swoje serce w ofierze bogom na ołtarzu, raj miał zapewniony. Rytuał patroszenia delikwenta był zapewne zbliżony do azteckiego. Kapłan wykonywał delikatne nacięcie obsydianowym nożem na wypiętej klatce piersiowej ofiary. Następnie przy pomocy długich paznokci wprowadzał do wnętrza dłoni, zaciskał żyły i tętnice, tak aby mózg nie doznawał gwałtownego odpływu krwi i usuwał organ. Dzięki temu tracony człowiek zachowywał świadomość i mogło być tak, że zobaczył jeszcze 2-3 uderzenia własnego

serca. Po skonaniu odcinano nieszczęśnikowi głowę, a usunięte serce trafiało do specjalnej misy, w której je palono.

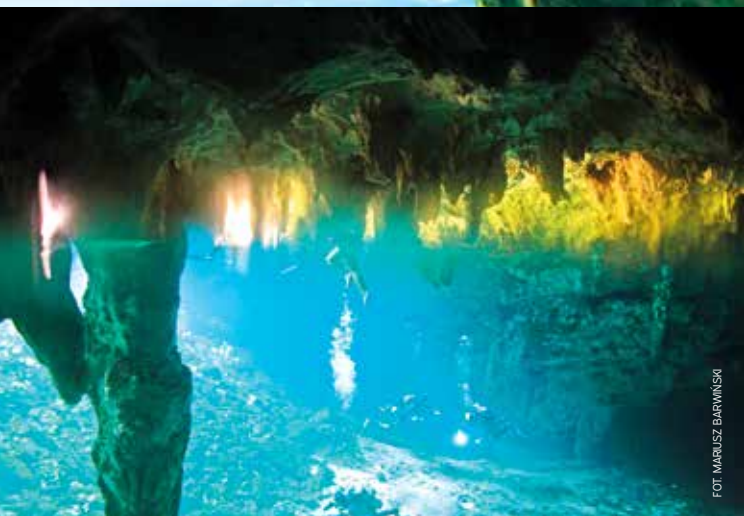
Jeśli ofiarą był niewolnik, zdekompletowane ciało często wyrzucano na śmietnik za miastem. Jeśli była to wysoko urodzona osoba lub wojownik, który długo się bronił, zanim został pojmany – a tacy byli najbardziej pożądani, bo mieli waleczne serca – ciało ich było obdzierane ze skóry i zjadane. Majowie byli kanibalami. Odcięta głowa zatknięta na tyczkę trafiała na tzw. platformę czaszek. Jedna głowa na drugiej. Im więcej, tym lepiej. Każdy, kto odwiedzał miasto, miał obowiązek przyjść tutaj i podziwiać, ile robiono, aby wstało Słońce i żeby życie toczyło się dalej.

PIRAMIDA ARCYKAPŁANA

Cztery klatki schodowe z balustradami w kształcie przeplecionych węży to charakterystyczny motyw w mitologii Majów. Na szczycie tej piramidy odkryto szyb połączony z naturalną jaskinią wypełnioną ludzkimi szczątkami.



FOT. MARIUSZ BARWIŃSKI



FOT. MARIUSZ BARWIŃSKI



FOT. MARIUSZ BARWIŃSKI





NURY W CENOTACH

Zalane wodą jaskinie rozciągają się niemalże pod całym półwyspem Jukatan. Cenoty były jedynymi zbiornikami wody pitnej dla Majów, a dziś są wielką atrakcją dla pływaczy.



PLAŻA, DZIKA PLAŻA

Jukatan słynie z pięknych plaż, gdzie turkusowe morze opłukuje biały piasek. Poza ośrodkami wypoczynkowymi z tysiącami turystów, ciągle jeszcze można znaleźć zaciszne i odludne miejsca.

A SŁOŃCE WCIĄŻ WSCHODZI

Śmierć na ołtarzach skończyła się, gdy Hernan Cortez zakazał składania ofiar z ludzi. Nawet konkwistadorzy po podbiciu tych terenów byli przerażeni okrutnymi rytuałami Indian. Okazało się wtedy, że nikogo nie poświęcono, a Słońce wzeszło, spadł deszcz i urosła kukurydza. Kapłani zostali ośmieszeni, stracili szacunek i władzę.

Ofiary z ludzi to okrutny proceder, ale i nasza cywilizowana Europa ma w swej historii praktyki, które nie odbiegają daleko od opisanych. Majowie wykonywali zalecenia z „obserwatorium”, natomiast w Europie zabijano często jedynie dla rozrywki, jak choćby w rzymskim Koloseum.

OSTATNIA STACJA

Odwiedzamy Nuevo Durango, niewielką, zasytą w dżungli wioskę współczesnych Majów. Dzieciaki, jak wszędzie uśmiechnięte, pozuja

do zdjęć, a dorośli pozdrawiają nas nieśmiało. Turyści tu w zasadzie nie docierają, więc wszyscy czujemy się nieco skrępowani. Wielki jak dłoń pajak ptasznik przebiega złowieszczo drogę, niczym czarny kot, a krążące nad nami stado jaskółek nagle daje nura do... studni (gdzie chyba nocują). Starszy, przygarbiony mężczyzna zachęcającym gestem przywołuje nas do siebie. Z pewnością chce nam pokazać coś niezwykłego. Szybko się zmierzcha i dżungla gwałtownie milknie. Wilgotne powietrze osiada rosą na egzotycznych roślinach, których strach dotknąć. Wszystko wydaje się tu obce i niebezpieczne.

Po kilku chwilach zostajemy zaproszeni do wyjątkowego dla miejscowych wnętrza, wypełnionego niezgrabnymi malunkami na ścianach, zrobionymi przez miejscowe dzieci. Nie mają jednak nic wspólnego z przebogatą ornamentyką Majów. To stacje drogi krzyżowej w tutejszym kościele. ○



„Warmia i Mazury regionem zjednoczonej Europy”

Projekt dofinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Warmia i Mazury na lata 2007-2013 oraz z budżetu samorządu województwa warmińsko-mazurskiego

Kalendarz kulinarnych imprez regionalnych 2012



Jacek Protas
Marszałek Województwa
Warmińsko-Mazurskiego

Ubiegły rok na Warmii i Mazurach minął pod znakiem promocji tradycyjnej i regionalnej żywności, równie bogate plany mamy na rok 2012. Nasz cel to wprowadzenie tradycyjnej żywności do obrotu, nie tylko w Polsce, ale i na rynek europejski. Jest to możliwe, o ile żywność spełnia odpowiednie wymogi. Poznajemy te wymogi i przekazujemy je producentom. A cykl imprez promujących produkty ma z jednej strony promować tę część naszej gospodarki, a z drugiej przybliżyć regionalne smaki i receptury mieszkańcom.

Imprezy z kalendarza smaków rozpoczną się od Regionalnego Święta Ryby, które odbędzie się 30 czerwca w Iławie, a zakończą się 6 października w Elku Regionalnym Świętem Miodu. W formule imprez mieszczą się także konkursy dla amatorów i bardziej zaawansowanych oraz degustacje. W poszczególnych miastach regionu będzie można wypróbować swoje umiejętności kulinarne i posmakować kartaczy, dań z mięsa drobiowego, wieprzowego i dziczyzny, dań z mleka, ziemniaków czy miodu.

Dwanaście wydarzeń znalazło się w tegorocznym kalendarzu imprez regionalnych, promujących żywność naturalną, tradycyjną, lokalną i regionalną województwa warmińsko-mazurskiego.

30 czerwca – Iława

Regionalne Święto Ryby

7 lipca – Węgorzewo

Regionalny Festiwal Kultury Łowieckiej

8 lipca – Nidzica

Regionalny Festiwal Potraw z Mięsa Drobiowego

21 lipca – Mrągowo

Regionalny Festiwal Potraw z Mięsa Wieprzowego, Wołowego, Jagnięcego, Koziego

5 sierpnia – Gołdap

Regionalny Festiwal Pogranicza Kartaczewo

15 sierpnia – Olsztynek

Regionalne Święto Ziół

18 sierpnia – Olecko

Regionalne Święto Mleka

25 sierpnia – Lidzbark Warmiński

Finał regionalny konkursów „Smak Warmii, Mazur i Powiśla”

1 września – Ostróda

Regionalny Festiwal Potraw z Ziemniaków

8 września – Pisz

Regionalny Festiwal Runa Leśnego

15-16 września – Olsztyn
Festyn Dziedzictwo Kulinarne
Warmii Mazur i Powiśla

6 października – Elk

Regionalne Święto Miodu







GAP

by Marcin Kołpanowicz



Zmysł estetyczny Anglików wzbudza podziw: z przedmiotów, które w innych krajach są po prostu banalne, tutaj uczyniono arcydzieła codzienności – tak, jak londyńskie piętrusy czy taksówki. Inne gadzety miejskiego pejzażu to, występujące solo, parami lub w czteropakach, budki telefoniczne oraz, przypominające ogromne puszki na herbatę, skrzynki pocztowe. Te są jednak na wymarciu: budki telefoniczne za sprawą komórek, skrzynki za sprawą e-maili.



Nazywa się Hackney, jest czarna i piękna. Londyńska taksówka w najnowszym wcieleniu osiągnęła doskonałość. Limuzyna TX4 jest zarazem staroświecka i nowoczesna – a więc ponadczasowa. Ostatnie słowo ewolucji dochodzi do platońskiej idei samochodu: ni to osobowego dużego, ni to miniaturowej ciężarówki. Czarny to jedyny słuszny kolor – jest to czerń wypastowanych trzewików, melonika, parasola.

KOGO ANGLIK NIE PRZEJEDZIE

Zaokrąglona linia limuzyny kojarzy się ze staroświecką tekturową walizką lub przedwojennym radiem, a napis TAXI, podświetlony przyćmioną żółtawą lampką, to dla mnie szczyt nostalgii wyrażonej w designie. Niestety, coraz częściej na maskę londyńskiej taksówki wdzierają się komercja i bezguście – pomysł, żeby malować ją na różowo lub żółto i oblepiać

reklamami, jest równie niestosowny, jak uszy-
cie fraku z pstrokatego materiału i umieszcze-
nie na nim nadruków.

Ze względu na zwyczaj zwracania się
przez szofera do pasażera per „sir”, przejażdż-
ka taksówką po Londynie jest dla przybysza
z kontynentu niewątpliwą atrakcją, zaś ruch
lewostronny przyprawia o lekki zawrót gło-
wy – podobnego uczucia mogła doznać Alicja,

nie jedzie. Jednak na Wyspach najbezpieczniej
jest przechodzić przez ulicę z psem na smyczy,
bo prawdziwy Anglik nigdy nie przejedzie psa.

Piętrowe autobusy miejskie pędzą przez
ulice całymi stadami. Podobnie jak z tak-
sówkami, stary model autobusu zastąpiono
niedawno nowym, ale w tym przypadku nie
udało się prześcignąć pierwowzoru. Ich bocz-
ne ściany od lat służyły jako „ruchome parka-



BOHATER PIERWSZEGO PLANU

Piętrowe autobusy miejskie
mają paskudny zwyczaj
wjeżdżać w kadr dokładnie
w momencie, gdy naciska
się spust migawki.

gdy znalazła się po drugiej stronie lustra. Spe-
cycznym wyróżnikiem przejść dla pieszych
są namalowane na ich początku i końcu białe
napisy: Look left, Look right – umieszczone
tam w trosce o to, by goście spoza Wysp nie
wpadali bez przerwy pod koła pojazdów. Są
one także wyrazem angielskiego zdroworoz-
sądkowego pragmatyzmu i poczucia wolności,
bo dopuszczają możliwość przechodzenia na
czerwonym świetle, jeśli upewni się, patrząc
w lewo (lub prawo), że z lewej (lub prawej) nic

ny” dla banerów
reklamowych,
a odkąd Bri-
tish Humanist

Association zawie-
siło na nich hasło
„Prawdopodob-
nie Boga nie ma”,
stały się także fo-
rum sporów świa-
topoglądowych.
Chociaż pędząca
masa czerwonego
żelastwa wydaje się
wzmocniać przekaz,
w efekcie nastąpiło jed-
nak ożywienie anemicznej
wiary Wyspiarzy, gdyż kam-
pania ta skierowała ich myśli ku
sprawom ostatecznym.

MOJA MEDYTACJA W METRZE

Taksówki, autobusy – i metro do kompletu. Zjazd stromymi schodami w czeluście może kojarzyć się ze spadaniem w głęb króliczej nory (znów ta Alicja!). Pod ziemią czekają rozwidlające się korytarze o wykafelkowanych ścianach i sklepieniach, grajkowie zagłuszani co chwila przez łoskot wagonów i gwałtowne podmuchy podziemnego wiatru. Plan metra przypomina mi zawsze płataninę kolorowych nici – jej rozwikłanie ma w sobie coś z rozrywki umysłowej, szukania drogi w labiryncie i teleportacji. Niezmienna czerń za oknem i jednakowy wygląd wszystkich stacji sprawiają, że sama jazda wydaje się cokolwiek umowna.

Z powodu braku widoków za oknem, pozostaje rozglądać się dyskretnie po wnętrzu przedziału. Tu spotykają się ludy, narody i języki ze wszystkich zakamarków planety. (Zdarzają się także Anglicy: bladzi urzędnicy bankowi o zaczesanych w idealny przedziałek włosach oraz piegowate dziewczyny z nie-
domkniętymi ustami, o fryzurach, makijażu i biżuterii znacznie efektowniejszych niż one same). Spotykają się – i ignorują na-
wzajem. Drzemią z półprzymkniętymi oczami, wsłuchani w rytmy muzyki ze swych ojczystych stron, płynące czarnymi drucikami prosto do uszu. Pochylają się nad notatkami ze studiów lub kolorową gazetą. Kim byliby i co by robili w swych ojczystych stronach ci egzotyczni przy-





bysze z Commonwealthu i spoza jego granic, gdyby zawierucha losu czy miraż kariery nie przygnały ich do tej pędzącej pod piwnicami londyńskich kamienic metalowej puszkę? Na chwilę zgromadzeni w zaskakujących etnicznych permutacjach, siedzą, dotykając się ramionami na ciasnych ławkach, pod migotliwym światłem jarzeniówek, zanim na następnej stacji rozproszy ich kolejny poryw podziemnego wiatru.

„Mind the gap” – tę frazę powtarza lektorka w wagonowym głośniczku na każdej stacji. „Uważaj na szparę” (między drzwiami pociągu a peronem) – to rozwinięte tłumaczenie lakonicznego ostrzeżenia, lecz może mieć ono bardziej egzystencjalny wydźwięk. Słowo „gap” ma w języku angielskim wiele znaczeń: oznacza również przerwę, rozłam, przepaść, lukę. Ja myślę o rozdźwięku między wyobrażeniem o Londynie, jakie miałem przed przyjazdem, a miastem, które zobaczyłem. I co zostało z tej ostoji konserwatyzmu i bastionu tradycji.

UMARŁA KLASA ALBIONU

Współczesny Londyn to wymyte do białości kamienne gmachy i wyszorowane ceglane kamienice. Odkąd zabroniono opalać miasto węglem, smog zniknął jak zły sen. Słowo „smog” ma w sobie coś ze słów-walizek Lewisa Carrolla – jest zbitką „smoke” (dym) i „fog” (mgła). W Londynie nie ma dziś ani jednego, ani drugiego. Miasto szczyti się przejrzystym powietrzem, a Tamiza, mimo rudawego odcienia, jest jedną z najczystszych rzek Europy. Odkąd w pubach zabroniono palić, rozpyła się tam wieczorami dla nastroju „koncertową” mgłę – nostalgiczne wspomnienie dawnego smogu. Londyn podzielić można najogólniej na część imperialną, portową oraz City (zapełnione nowoczesną architekturą, o jakiej Josif Brodski pisał, że bardziej zniszczyła wygląd miast europejskich niż naloty Luftwaffe).

Krałęm z aparatem między potężnymi budynkami Parlamentu a opac-



twem Westminster i trochę niechęć dostałem się do wnętrza samego opactwa, wchodząc pod prąd przez sklep z pamiątkami (co pozwoliło mi zaoszczędzić szesnaście funtów). W tym narodowym sanktuarium Zjednoczonego Królestwa znajdują się grobowce wszystkich królów oraz posągi i nagrobki wielkich Anglików. Zagęszczenie epitafiów, natłok rzeźb. Podziw budzi mnogość artystów, naukowców, odkrywców, generałów i arystokratów, których wydał Albion. Archetypiczny dramatyzm wyróżnia znajdującą się w kaplicy Świętego Michała grupę rzeźb, którą można by zatytułować: Tug of war (przeciąganie liny). Młoda, osuwająca się bezwładnie damę przytrzymuje jej mąż,



podczas gdy wynurzająca się z krypty, okryta roz-
wianą szatą, śmierć z dzidą
chwyta kobietę za stopę i
usiłuje wciągnąć do swego
podziemnego świata. To
grób lady Elizabeth Ni-
ghtingale, która, będąc w
stanie błogosławionym,
zmarła od uderzenia
pioruna.

W Poets' Cor-
ner (Zakątku Po-
etów) przez stule-
cia wokół nagrobka
George'a Chauce-
ra wmurowywano

w posadzkę płyty, upamiętniające zmarłych
pisarzy: Lorda Byrona, Karola Dickensa,
Dylana Thomasa, T.S. Eliota, Ezrę Pounda
i wielu innych. Dobroduszny profil w bino-
klach przedstawia Edwarda Leara, poetę, ma-
larza i ornitologa, bez którego nie rozblęślały
kunsztowna forma limeryku. Tuż obok pastor
Charles Lutwidge Dogson, bardziej znany
jako Lewis Carroll. Jego nazwisko opisane jest
na okręgu – litery układają się jakby wokół
króliczej nory.

W krużgankach westminsterskiego opac-
twa mieści się najbardziej niezwykle londyń-
skie muzeum: kolekcja „effigiów”, czyli kukiel
królewskich. Tradycja pośmiertnego wykony-
wania z drewna, płótna, pakuł i wosku figur
królów, królowych i królewskich dzieci wiąże

LONDYŃSKI PUC

Dziś niewiele pozostało
z dickensowskiego
mrocznego molocha,
otulonego nieustającym
smogiem. Współczesny
Londyn to wymyte
do białości kamienne
gmachy i wyszorowane
ceglane kamienice.



się z obyczajem wystawiania przed pogrzebem zwłok monarszych na widok publiczny. Czas, jaki upływał między datą śmierci a pogrzebu, był na tyle długi, że zwłoki zastępowano

kukłą – naturalnej wielkości podobizną zmarłego. Twarz (na podstawie maski pośmiertnej) i dłonie odlewano z wosku, dorabiano naturalne włosy, a kukłę odziewano w oryginalne szaty, co dawało tyleż naturalistyczny, co makabryczny efekt. Obok głów koronowanych znajduje się tu również kukła admirała Horatio Nelsona, pokazywana po jego śmierci w podobnym celu, w jakim pokazuje się dziś celebrytów u Madame Tussaud. W sklepionym przyciemnionym wnętrzu, w szklanych gablotach stoją, siedzą i leżą przysypane kurzem postacie... Ta „umarła klasa” robi o wiele bardziej upiorne wrażenie niż sala tortur w Tower of London.

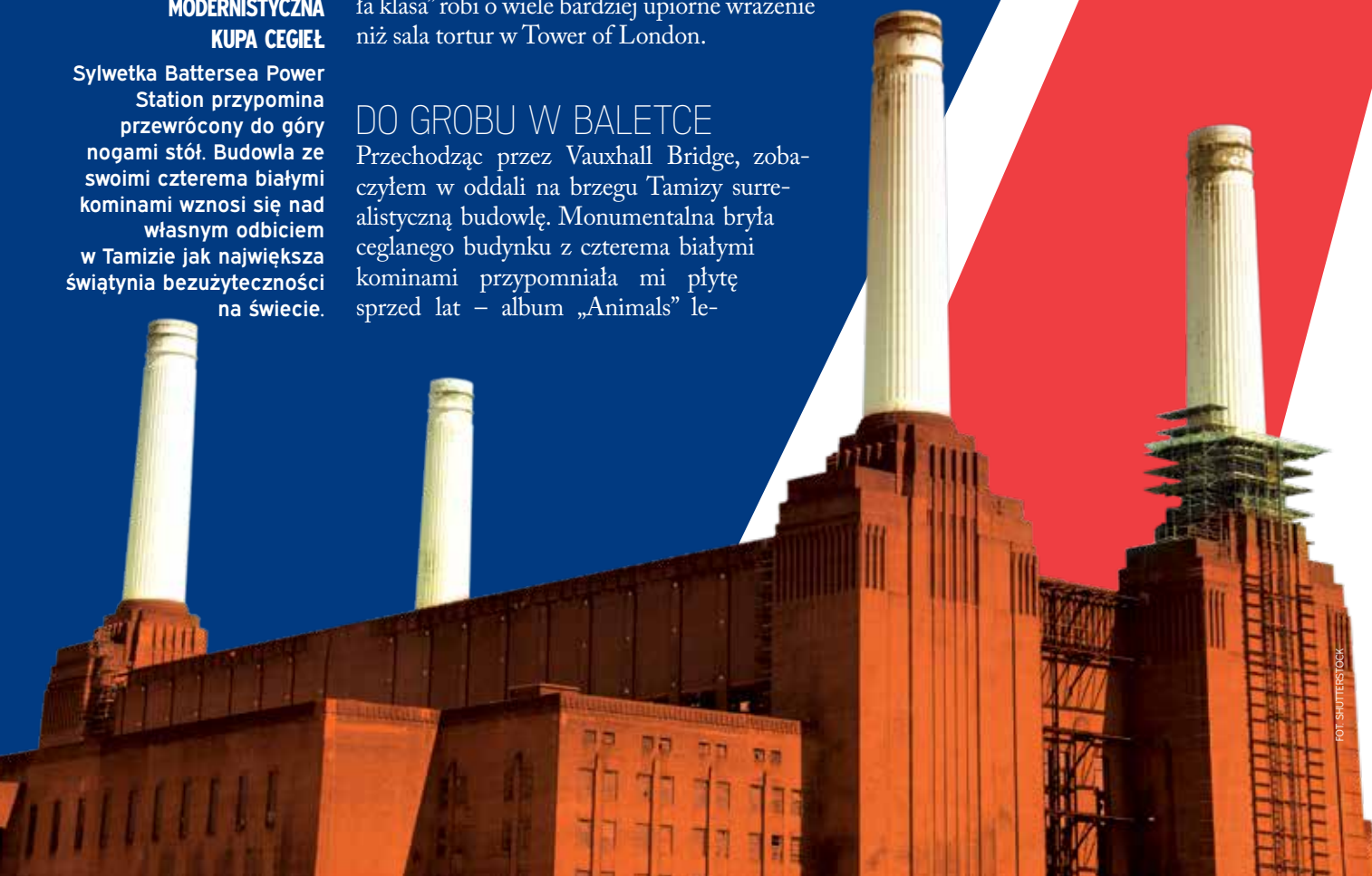
MODERNISTYCZNA KUPA CEGIEŁ

Sylwetka Battersea Power Station przypomina przewrócony do góry nogami stół. Budowla ze swoimi czterema białymi kominami wznosi się nad własnym odbiciem w Tamizie jak największa świątynia bezużyteczności na świecie.

DO GROBU W BALETCE

Przechodząc przez Vauxhall Bridge, zobaczyłem w oddali na brzegu Tamizy surrealistyczną budowlę. Monumentalna bryła ceglanego budynku z czterema białymi kominami przypomniła mi płytę sprzed lat – album „Animals” le-

gendarnego Pink Floyd. Nie wiedziałem wtedy, że jest to prawdziwa budowla, sądziłem, że to fotomontaż wykonany przez grafika. A jednak dziwny zikkurat z kominami istnieje naprawdę, nazywa się Battersea Power Station i uważany jest za największą (obok zamku w Malborku) kupę cegieł w Europie. Zbudowana w latach dwudziestych XX wieku w stylu art deco elektrownia dostarczała Londynowi energię, ale gdy rozpoczęła się walka o czyste powietrze w mieście, opalane węglem piece zostały wygaszone,





a budynek stoi odtąd nieużywany. Czasami w murach elektrowni kręci się teledyski lub offowe filmy.

Trochę dalej, po drugiej stronie Tamizy, w South Bank Center (Centrum Południowego Brzegu), trwała właśnie niecodzienna wystawa. Ekspozyty przypominały powiększone zabawki – samochód, cygarniczkę, hot-dog, baletkę i inne przedmioty codziennego lub niecodziennego użytku, pieczołowicie odtworzone w drewnie i polakierowane na jaskrawe kolory. Wspólną ich cechą było to, że wykonane były z dwóch części, jakby pojemnika i przykrywkę, wewnątrz puste i wyłożone śliskim jedwabiem. „Crazy coffins” (szalone trumny) – to tytuł wystawy tych artefaktów. Połowa ekspozycji pochodziła z Ghany, gdzie popularny jest zwyczaj grzebania zmarłego w trumnie nawiązującej kształtem do jego zwyczajów lub zamiłowań, zaś druga połowa... z Anglii, gdzie specjalizująca się w tej branży firma wykona na zamówienie najbardziej nietypową trumnę, w cenie od dwu do siedmiu tysięcy funtów. Firma Crazy Coffins z roku na rok odnotowuje coraz więcej zamówień...

MINISTERSTWO, KTÓRE RZĄDZI ANGLIĄ

Charakterystycznym rysem angielskiego myślenia było zawsze połączenie zdrowego rozsądku z poczuciem absurdu. Anglosaski pragmatyzm i purytańskie zasady z czasów królowej Wiktorii zbudowały Commonwealth i uczyniły ze Zjednoczonego Królestwa światowe imperium. Odreagowaniu bezwzględności purytanizmu służył pure-nonsense, który odbijał się w humorze Edwarda Leara i Lewisa Carrolla. Dziś następuje odwrócenie proporcji: absurd staje się obowiązującą zasadą, a poczucie rozsądku i przyzwoitości – wyjątkiem. Latający cyrk Monty Pythona przejmując powoli miejsce parlamentu, a „Ministerstwo głupich kroków” staje się najbardziej proroczym skeczem wszechczasów.

Cywilizacja zachodnia również i tutaj jest w odwrocie. Jeśli któregoś dnia umrze i pozostaną z niej tylko przysypane kurzem kukły, podobne „effigiom” z muzeum w Westminster Abbey, to przynajmniej „szalone trumny” zagwarantują wyjątkowo kolorowy pogrzeb. ○

WYBIERZ TRUMNĘ SWOICH MARZEŃ

Wieczny odpoczynek sześć stóp pod ziemią będzie z pewnością weselszy w futerale na gitarę, latawcu, wagonie kolejowym lub kontenerze na śmieci.



W Świącianach koło Wilna są dwa cmentarze: po prawej stronie szosy na Łyntupy katolicki, a po lewej w lesie – żydowski. Tylko że na żydowski nikt nie chodzi, bo Żydów w Świącianach już nie ma. Nie ma kogo chować, nie ma kto odwiedzać zmarłych.

Cmentarz katolicki jest pięknie położony na wzgórzach wzdłuż drogi wśród sosen, buków i lip. Oglądam polskie groby legionistów poległych w latach 1919-1921 – odnowione, zadbane. Kilka miesięcy temu groby zostały pomazane farbą, zbezczeszczone, tak dzieje się ostatnio na wielu litewskich cmentarzach. Litwini niszczą polskie groby, jakby mścili się za wszystko, czego im przez wieki historia poskąpiła. Historia, czyli my, Polacy. Ale tego dnia w Świącianach polskie mogiły są uporządkowane.

– Od razu wiedziałem, że pan z Polski – mówi mi starszy pan, opiekun cmentarza. – Wacław Gabrynowicz – przedstawia się i opowiada swoją historię. Mieszkał przez lata w wiosce, potem zaczął opiekować się cmentarzem, na którym leżą pokolenia Polaków z Wileńszczyzny. Pytam, czy Litwini często niszczą polskie groby.

– Co odnowimy, to niszczą. Teraz też będzie tylko do następnego razu.

– A dlaczego?

– Bo polskie są. Oni tego, co polskie, nie znoszą. Zawzięte ludzie są.

Pytam pana Wacława, kiedy był ostatnio w Polsce.

– Nigdy nie byłem. Po wojnie nie wyjechałem, to już zostałem. Tu mój dom, tutaj zostanę do śmierci. Polak jestem, ale na wycieczkę do Polski nie stać mnie.

Po drugiej stronie szosy las, a w nim żydowskie groby, zapadnięte w ziemię, porośnięte mchem kaskady kamieni, wydeptana ścieżka wzdłuż mogił, ślady ogniska, śmieci, butelki, puszki po piwie. Jak leśne obozowisko, z którego zmarli zapomnieli odejść. Przeszkadzają żywym. Za co mścili się Litwini na Ży-

dach? Czego Żydzi im poskąpili? Dzieci z rosyjskiej szkoły przychodzą co wiosnę sprzątać ten cmentarz, w tym roku jeszcze ich nie było.

A potem widzę krzyż. Krzyż na cmentarzu żydowskim. Krzyż i tablica:

20 maja 1942 roku

Tu rozstrzelano 40 mieszkańców

m. Świąciany

Jak to „rozstrzelano”? Kto rozstrzelali? Wersja bezosobowa, znaczy oni rozstrzelali. Ci, których zabijali, mieli imiona i nazwiska, ci, którzy zabijali, mieli imiona i nazwiska. Gdzie one są? W grobie pochowane wraz z ludźmi, czy jak?

Litewska wersja napisu mówi „hitlerowscy okupanci rozstrzelali”. To znaczy Niemcy czy Litwini? Nie, to hitlerowcy. Teraz się na nich mówi naziści. Ale kim byli? Kim są?

Historia akurat tej zbrodni w Świącianach jest dobrze znana. W maju 1942 roku oddział partyzantki sowieckiej kierowany przez Fiodora Markowa zabił dwóch urzędników niemieckich władz okupacyjnych i komendanta obozu jenieckiego. W ramach represji zatrzymano co najmniej 400 mieszkańców Świącian i okolic – głównie polskich inteligentów i rolników. Zostali oni rozstrzelani na cmentarzu żydowskim w Świącianach i w kilku innych miejscach na terenie gmin: Łyntupy, Kiemieliszki, Hoduciszki, Komaje i Twerecz w dniach 19 i 20 maja 1942 r. Nie wiadomo dokładnie, ile było ofiar. Wiadomo, że akcją kierował policjant litewski, major Jonas Maciulewicius. Brały w niej udział niemiecka policja bezpieczeństwa powiatu święciańskiego i świrskiego, litewskie oddziały policji ze Świącian, Nowych Świącian i Łyntup oraz Wileński Oddział Specjalny.

W 1950 r. przed Sądem Apelacyjnym w Olsztynie toczyło się postępowanie karne przeciwko Maciulewiciusowi, aresztowanemu we francuskiej strefie okupacyjnej i wydanemu władzom polskim. Wyrokiem z dnia 2 maja 1950 r. został on skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 12 grudnia 1950 r. 31 stycznia 2005 r. Instytut Pamięci Narodowej umorzył postępowanie wobec pozostałych sprawców zbrodni w Świącianach wobec ich niewykrycia.

Tyle zostało z tamtej zbrodni: umorzone śledztwo, ulica Markowa w Łyntupach, polski pordzewiały krzyż na żydowskim cmentarzu na Litwie, gdzie wiosennym rankiem biegają sportowcy i śpiewają ptaki.

Na Wileńszczyźnie schemat zastosowany w Świącianach powtarzał się przez cały czas wojny: Niemcy wydawali rozkaz, Litwini mordowali. Tak było przy likwidacji żydowskich gett w okolicznych miejscowościach, tak było podczas jednej z największych masowych zbrodni II wojny światowej, czyli wymordowaniu 80 tysięcy Żydów i 20 tysięcy Polaków w Ponarach, tak było przez wszystkie lata wojny po 1941 roku, kiedy Litwini uwierzyli, że Niemcy dadzą im niepodległy kraj. A oni w międzyczasie czyścili go z Żydów, których nienawidzili za to, że część z nich na po-



czątku wojny współpracowała z Sowietami. I z Polaków, których nienawidzili za to, że żyli na Litwie.

Co ciekawe, wielu Litwinów uważa do dziś, że właściwie nie ma o co kopii kruszyć. Niedawno sprowadzili z honorami szczątki Juozasa Ambrazevičiausa, premiera faszystowskiego rządu powołanego w 1941 roku i współpracującego z Niemcami. To Ambrazevičius podjął decyzję o utworzeniu getta w Kownie, to jego policja mordowała tysiące Żydów. I co z tego? Nic. Dziś rząd Litwy, członka Unii Europejskiej, sprowadza jego szczątki i czci czterodniową patriotyczną fetą.

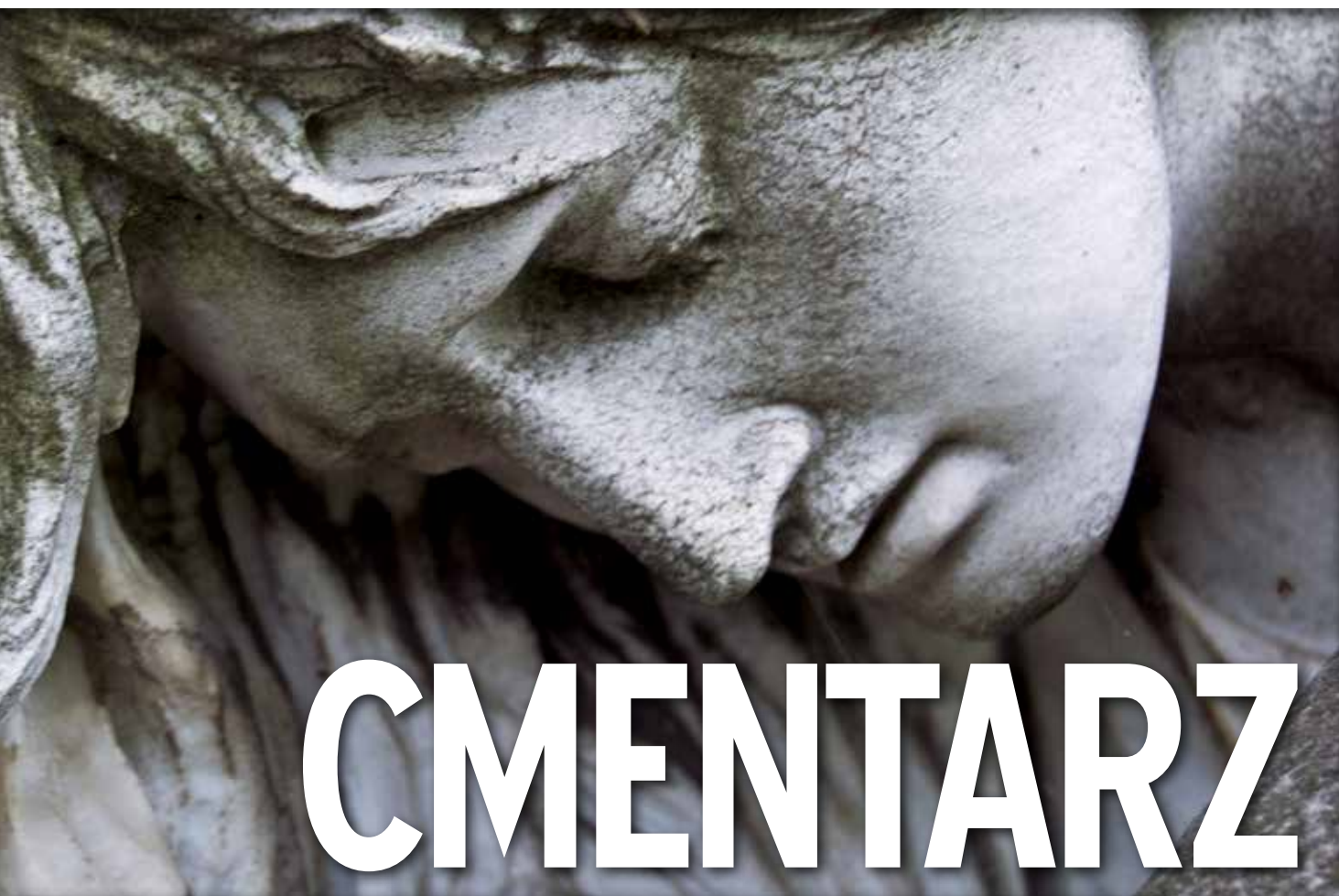
Niedawno moja 9-letnia córka zapytała mnie: Tatusiu, a dlaczego Adam

łem, że to tutaj była ta najprawdziwsza Polska, która odeszła z duchami pocho-
wanych tu ludzi. Kiedyś przyjedziemy razem na Litwę, pokażę córce resztki domu Marszałka w Zułowie z dębem zasadzonym przez prezydenta Mościckiego w miejscu, gdzie stała kolebka, kościół św. Kazimierza w Powiewiörce, gdzie Józef Piłsudski został ochrzczony, cmentarz na Rossie, gdzie leży jego serce. Kiedyś pewnie przyjedziemy.

Z tyłu za dworcem w Święcianach jest pole, kilkaset metrów pustej łąki ciągnie się aż pod las. W tym rejonie są piękne, puste łąki, od czasu gdy kołchozy upadły, nikt ich nie uprawia. Z przodu asfaltowy plac, po którym wiatr rozwiewa liście i śmieci. Właśnie

że ciepło gdzieś się kurczy, choć jest jasno, słońce świeci jak wariat. Kilkaset metrów dalej, przy drodze na Wilno, w Cerkliszkach w lipcu 1941 roku Litwini wymordowali pierwszych Żydów – od 27 do 40, nie wiadomo dokładnie. Tam stoi kamień z napisem, wszędzie w tym rejonie stoją kamienie z napisami. Że mordowali Żydów albo Polaków. Okupanci mordowali, czasem hitlerowscy okupanci. Tylko że ja nie wiem, co mam robić przy tych kamieniach. Kamień zakrywa, zamiast odkrywać, przywala swoim ciężarem, który z czasem, zamiast ciążyć, nic nie waży.

Za plecami mam pole. Miasto, pole, las, małe stogi siana, nawet krów nie ma. Ciekawe, czy na tym polu też ko-



Mickiewicz pisał, że jego ojczyzną jest Litwa, skoro był Polakiem? Siedzę na dworcu autobusowym w Święcianach i przypominam sobie, jak jej tłumaczy-

ucieł mi autobus do Wilna, trzeba będzie poczekać kolejną godzinę. Nie szkodzi. Jest słoneczny kwietniowy dzień, ale ten wiatr z północy sprawia,

goś zabili? Zakopali? Nawet jeśli zabili, to gdzie szukać trupów? Gdzie szukać trupów w tym martwym kraju? ○



Maciej Jastrzębski Obrazy wujka Borki

Kumple od pędzla mówią, że Borys Anatolijewicz to ma historię Moskwy w małym palcu. Bo jak inaczej wytłumaczyć współczesny wygląd ulic przeplatający się z wydarzeniami z przeszłości. Wielu turystów kupowało jego obrazy, aby później biegać po mieście w poszukiwaniu tego, co uwiecznił swoim pędzlem.





FOT. MACEJ JASTRZEBSKI

ULICA ARTYSTÓW

O Arbacie pisali Michaił Bułhakow i Anatolij Rybakow. Śpiewał o nim Bułat Okudźawa. Przy tej ulicy mieszkał Aleksander Puszkina. Dziś swoje dzieła wystawia tu wielu ulicznych artystów.

Borka wiódł podwójne życie. Jedni znali go jako malarza sprzedającego obrazy na Arbacie. Dla innych był biznesmenem prowadzącym tajemnicze interesy. Borka – artysta przychodził na Arbat nie wiadomo skąd. Rozwieszał swoje płótna na drewnianych stelażach. Siadał na wędkarskim krzeselku i ołówkiem kreślił kontury kamienic. Czasami można było go zobaczyć w grupce podobnych mu, jak gra w karty albo pociąga piwo z butelki. W odróżnieniu od kolegów nie sprzedawał swoich obrazów codziennie. Pojawiał się w soboty i niedziele. Rzadziej w piątki. W pozostałe dni tygodnia jego stałe miejsce przy Kriwoarbackim Zaułku było puste. Gdzie wtedy był i co robił?

Wujek Borka upodobał sobie malowanie gołębi, kotów i psów spacerujących ulicami Moskwy. Na jego płótnach były: kamienice, cerkwie, stacje metra i pomniki, ale zawsze najważniejszy był jakiś mały przyjaciel człowieka. A to gołąbek siedzący na gzymsie domu przy Czeremuszkach, a to pies łaszący się do nóg spiżowego Puszkina albo kot przeciągający grzbiet na schodach cerkwi Chrystusa Zbawiciela. Ci, co mieli już kilka prac moskiewskiego malarza, mogli, na własny użytek, tworzyć wirtualne szlaki turystyczne. I tak – zaczynając

od miejsca gdzie kupili pierwsze dzieło, czyli Starego Arbatu – poznawali historię Moskwy.

ECH ARBAT, MÓJ ARBAT, MOJE POWOŁANIE...

W XIV wieku na zachód od Kremla rozciągała się posiadłość potocznie nazywana „Orbatem”. Niektórzy przekonują, że słowo to wywodzi się z arabskiego „arbad” i oznacza podgrodzie. W XV wieku wiódł tędy główny szlak z Moskwy do Smoleńska i dalej na zachód. Sto lat później Orbat znalazł się w granicach miasta i, już jako jedna z najmłodniejszych ulic, zmienił swoją nazwę na Arbat. W XVIII wieku osiedlali się tu zamożni kupcy i wysocy rangą urzędnicy, a u stóp ich kamienic świetnie prosperowały restauracje, teatry i pracownie malarskie. Muzykanci, aktorzy, rzeźbiarze i malarze tak się tu zdomowili, że z czasem wyparli poprzednich lokatorów. Niestety, z architektury tamtego okresu nic nie pozostało. W 1812 roku, gdy wojska Napoleona wkraczały do Moskwy, na rozkaz władz carskich większość domów podpalono. Obecna zabudowa to dzieło architektów z początku XX wieku. Po Wielkiej Rewolucji Październikowej wyburzono średniowieczne kapliczki i cerkwie. W ich miejsce wzniesiono pałac



w stylu socrealistycznym, będący dziś siedzibą Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

W drugiej połowie lat 1980. Arbat zamknięto dla ruchu kołowego i od tej pory zaczyna się nowy rozdział w historii ulicy. Na deptak oprócz artystów zaczynają przychodzić dysydenci. Najpierw, popijając herbatkę, dyskutują o konieczności zmian w Związku Radzieckim, a z czasem organizują wiece i demonstracje. Jednak związki Arbatu z polityką były chwilowe. Do dziś pozostaje on w świadomości Rosjan i zagranicznych gości ulicą artystów. Spacerowali po nim i nawet mieszkali w pobliżu: Aleksander Puškin, Andriej Bieły, Anatolij Rybakow. Na rogu Kriwoarbackiego Zaułku stoi ściana pamięci najpopularniejszego radzieckiego muzyka rockowego, Wiktora Coja. Z cokołów spoglądają rzeźby Puškina i Okudźawy. Ten ostatni w jednej ze swoich pieśni wyznał – „Ech Ar-

bat, mój Arbat, moje powołanie. Jesteś moją radością i moim nieszczęściem”. Na Arbacie mieszkał tytułowy Mistrz z powieści Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata”. Czarny kot, często pojawiający się na obrazach wujka Borki, to podobno sam demoniczny Behemot.

OKUDŹAWA NA WIEKI

Bułat Szaławowicz Okudźawa (1924-1997) był bardem, poetą, prozaikiem, kompozytorem ballad, pieśni lirycznych i satyrycznych oraz dramaturgiem.



PRZODOWNIK RADZIECKIEJ KINEMATOGRAFII

Tutaj swoje premiery miały: w 1926 słynny film Siergieja Eisensteina „Pancernik Potiomkin”; w 1931 pierwszy rosyjski film dźwiękowy – „Bezdomni”; w 1936 – pierwszy film w kolorze „Grunia Kornakowa”.

Czas płynie, ale moskiewscy malarze mają sposoby, żeby zamknąć go w klatce kresek i kolorów. Wujek Borka zna takiego „łapacza czasu”. Wołają na niego chromy Paszka, bo utyka na lewą nogę. Paszka raz się zawziął, żeby czas uwięzić, i przez tydzień pędzla z rąk nie wypuszczał. Zamknął się w domu, pił i malował. Kiedy dozorca wyważył drzwi, znaleźli Paszkę prawie martwego. Leżał na podłodze. W jednym ręku trzymał pędzel, w drugim butelkę

ALE KINO

Wujek Borka zażartował kiedyś z filozoficznych wywodów Paszki. W „Małym Księciu” bohater, nie potrafiąc narysować baranka, naszkicował pudełko. Później wytłumaczył, że baranek jest w środku. Borys Anatolijewicz podobnie. Namalował kino i oznajmił, że złapał czas w podwójną pułapkę – zatrzymał go na swoim obrazie i jeszcze uwięził w kinie na taśmie. A kino, które namalował, to nie było



i tępo patrzył na swoje dzieło. Płótno miało ze trzy metry na półtora. Paszka podzielił je na równiutkie prostokąci, a w każdym małej obrazek umieścił. Było ich chyba ze sto. Na każdym cienka brzoźka. Niby ta sama, ale jakaś inna. Brzoźka w różnych porach roku i brzoźka w różnych porach dnia. Mnóstwo brzożek. – *Ciut chłopisko nie umarł, ale czas złapał, w klatce zamknął i na pokaz wystawił* – podsumował Borka.

jakie kino. Pamiętające: cara, rewolucję i Związek Radziecki.

– *Gdzie to cudo?* – pytają turyści, więc artysta pokazuje ręką najpierw na jeden koniec Arbatu, gdzie stoi wielkie gmaszysko MSZ, a później na drugi. Jak się popatrzy przez Arkackie Wrota w stronę Kremla, to widać mały budynek oklejony plakatami. W filmowej historii Rosji kino Chudożestwiennyj zajmuje wyjątkowe miejsce. Otwarto je 10 listopada

1909. Ale sławę zyskało dopiero po rewolucji komunistycznej, gdy Lenin przeniósł stolicę państwa do Moskwy. To właśnie w tym małym budynku, obok stacji metra Arbacka, w styczniu 1926 roku odbył się pokaz słynnego obrazu Eisensteina „Pancernik Potiomkin”. Ta wymyślona przez reżysera historia buntu załogi okrętu wojennego przeciwko carskiemu dowódcy miała być produkcją propagandową, a stała się jednym z największych osiągnięć

wszystkich rosyjskich produkcji. Od 2006 roku Chudożestwiennyj nosi więc miano Centrum Rosyjskich Premier.

JEST ULICA, CERKWI NIE MA

Mając po prawej stronie budynek kina, a za plecami szybko mknący po Nowym Arbacie sznur samochodów, zobaczymy przed sobą ulicę Wozdwiżenkę. Zaraz po rewolucji na-



światowej kinematografii. W kolejnych latach kino było świadkiem znaczących wydarzeń w historii radzieckiego filmu. Widzowie mogli obejrzeć tu pierwszy obraz udźwiękowiony i pierwszy film w kolorze.

Pod koniec lat 1990. okazało się, że kino przy Arbacie jest jedynym, które przetrwało wszystkie zawieruchy mijającego stulecia. Postanowiono więc, że w tym zasłużonym budynku będą się odbywać pokazy premierowe

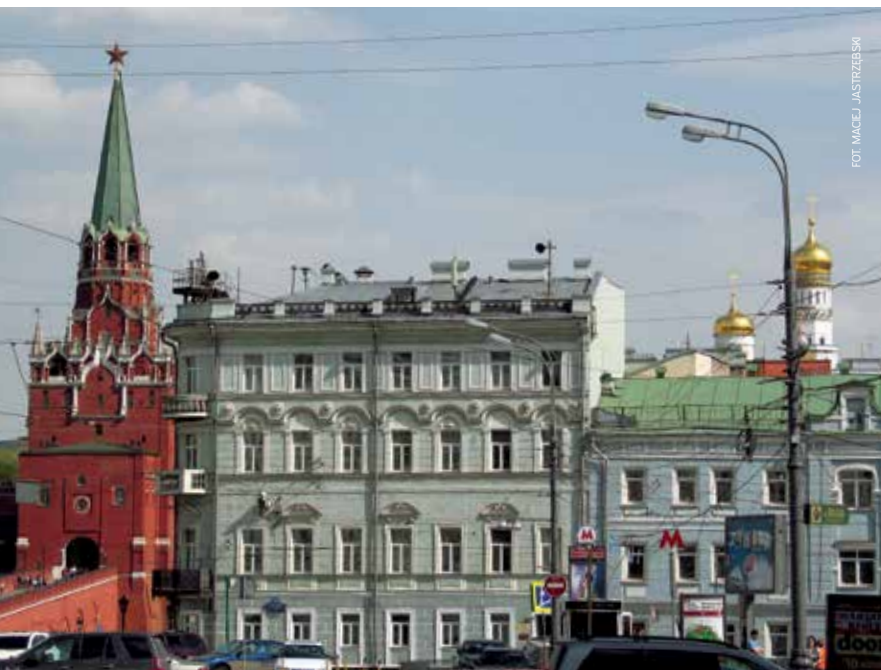
zywała się Kominternu – na cześć, założonej przez Lenina, komunistycznej międzynarodówki. Później przemianowano ją na prospekt Kalinina, a do starej nazwy powróciła już po rozpadzie ZSRR w 1991 r. Pierwsze wzmianki o uliczce prowadzącej w kierunku Kremla odnaleźć można w zapiskach z XV wieku. Początkowo stanowiła jeden ciąg z ulicą Arbacką. Później moskwianie zaczęli nazywać tę część Arbatu Wozdwiżenką, od cerkwi pod

275 KILOMETRÓW BIBLIOTECZNYCH PÓŁEK

Księgozbiór Rosyjskiej Biblioteki Państwowej liczy ponad 3,8 mln egzemplarzy.

WIDĄĆ SERCE

Ulica Mochowaja, ciągnąca się równolegle do murów Kremla, stanowi fragment pierwszego miejskiego pierścienia. Układ urbanistyczny tworzą cztery takie pierścienie ulic. Na tym zdjęciu widać więcej Moskwy niż Kremla – będącego sercem miasta.



FOT. MACIEJ JASTRZEBSKI

ANIOŁ W NIEBIE, A WRÓBEL NA DACHU

W 1930 roku rozpoczęto budowę Biblioteki im. Lenina. Jej gmaszysko wujek Borka też uwiecznił. Każdemu, kto kupuje takie malowidło, radzi, aby skoro już dotrze do tej „świątyni książki”, zatrzymał się na chwilę. Właśnie tu, gdzie stoi dziś biblioteka, w 1566 roku wybudował swoją rezydencję car Iwan IV Groźny. „Opricznyj Dwór”, jak potocznie nazywano carską rezydencję, stał się

siedzibą specjalnej policji utworzonej do walki z wrogami imperium. Oprycznicy wsławili się masakrami miejscowej ludności i grabieżami dokonywanymi w imieniu monarchy. W lochach „Opricznego Dworu” życie miało stracić kilka tysięcy wrogów despoty. Budowniczości moskiewskiego metra natrafili na pozostałości tych kazamatów.

Rosyjska Biblioteka Państwowa to kilka milionów woluminów w 367 językach. Tyśiące map, planów, rękopisów, gazet i zapisów audio-wideo. Łączna długość bibliotecznych półek to 275 kilometrów. Najstarsze książki mają prawie 1000 lat. Dmitrij Głuchowski w książce „Metro – 2033” przypisał Bibliotece im. Lenina rolę ostatniej świątyni wiedzy i skarbnicy ludzkiej mądrości. Gdy po atomowej katastrofie świat pustoszeje, jedynie mieszkańcom Moskwy udaje się przeżyć w tunelach stołecznego metra. Ratunku przed mutantami, mieszkającymi na powierzchni, szukają w zbiorach biblioteki. Tam właśnie ma się znajdować tajemnicza książka, mogąca wskazać ludzkości drogę do odrodzenia.

Na jednym z obrazów wujka Borki znalazł się podobny motyw. Anioł zstępujący z nieba składa tajemniczą książkę na schodach Rosyjskiej Biblioteki Państwowej, ale mały wróbel okazuje się szybszy od bibliotekarza. Ptaszyna porwuje bezcenne dzieło, unosząc je jak najdalej od ludzi niegodnych wiedzy. Borys Anatolijewicz namalował tę scenkę na początku lat 1990. Chciał w niej pokazać, że po upadku Związku Radzieckiego jego rodacy nie potrafią korzystać z wolności. Zamiast budować demokratyczne państwo, zajmują się rozkradaniem tego, co pozostało po imperium.

Obraz wujka Borki ma przeszło 20 lat, ale jego przekaz wciąż odpowiada rzeczywistości. Eksperci z rosyjskiego Klubu Gospodarczego, podsumowując cztery lata rządów prezydenta Dmitrija Miedwiediewa, orzekli, że zostawia on Rosję „niezreformowaną, zacofaną gospodarczo, z upadającą armią i w intelektualnej stagnacji”. Zapewne anioł, który przyniósł Rosjanom „księgę mądrości”, już dawno wrócił do nieba, a wróbelka, który ją ukradł, nikt do tej pory nie złapał. – *I nie złapie tak szybko* – mówi z rozżaleniem artysta, wskazując na plakat z wizerunkiem „nowo – starego” prezydenta – Władimira Putina. ○

AUTOR JEST
KORRESPONDENTEM
POLSKIEGO RADIA
W MOSKWIE



SHERPA X3 - Ciepły śpiwór z wypełnieniem syntetycznym, przydatny również podczas chłodniejszych pór roku, łatwy do spakowania, bardzo lekki
Detale: kaptur 3D z daszkiem, dno 3D, suwak zakryty listwą, kołnierz ocieplający, kieszeń na dokumenty, ochrona przeciwko zacinaniu się suwaka, ściąganie kaptura jedną ręką, pętle do zawieszania

Waga: 1250 g

Wypełnienie: Primaloft Infinity

Zakres temperatur:

Komfort 3 / -2

Ekstremalnie 13 / -18

Symbolem X3 są oznakowane śpiwory obejmujące modele przeznaczone do użytku od wiosny do jesieni. Są przydatne w bardziej ekstremalnych warunkach, wyróżniają się markowym wypełnieniem oraz świetnymi parametrami termoizolacyjnymi

CENA: 469 PLN

www.sklep.hannah.pl



Faladze ciągną się kilometrami, wiodą przez zielone gaje palm, przecinają wioski, prowadzą wzdłuż górskich dolin albo... przez środek ulicy, między pasami ruchu. Omańczycy pochylają się nad nimi, by ugasić pragnienie. Pluskają się w nich dzieci, kobiety robią pranie, a mężczyźni czerpią wodę do mycia samochodów.

**TAM,
GDZIE
NIE
MA
RZEK**

Ilona Pietrusiewicz

PRZECZ PALMOWY GAJ

W Omanie nie ma rzek.
Woda płynąca faladżami
jest w stanie ożywić
pustynię.



FOT. LONIA PETRUSEWICZ

W 2006 roku na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO wpisano pięć spośród ponad czterech tysięcy systemów irygacyjnych istniejących w Omanie. Trzy tysiące z nich wciąż się wykorzystuje. Nazywane są faladżami, od arabskiego słowa o znaczeniu „dzielić się po równo skąpyimi zasobami”.

Badania archeologiczne dowodzą, że systemy nawadniające znano tu już w III tysiącleciu p.n.e. Od wieków działają w ten sam sposób. Wykorzystując siłę grawitacji, specjalnymi kanałami rozprowadzają do gospodarstw i na pola uprawne wodę deszczową lub z podziemnych źródeł. Zasada jej dystrybucji w wioskach jest zawsze ta sama: wodę do picia czerpie się najbliżej źródła. Na dalszych odcinkach kanałów wykorzystuje się ją do mycia i prania.

Często faladż przebiega przez dziedziniec meczetu lub przy jego bramie, by umożliwić wiernym dokonywanie rytualnych ablucji. Potem woda płynie dalej, nawadniając uprawy na polach i w gajach. Infrastrukturę systemów irygacyjnych tworzą również łaźienki, gwiazdne wieże, zegary słoneczne, wieże obserwacyjne i wartownice, a nawet forty, wznoszone dla ich ochrony. Budowle te potwierdzają, jak ważne były faladże w kraju, w którym nie ma stałych rzek i który wciąż boryka się z niedostatkiem wody.

DAWUDI, GHAJLI, AJNI

Poszczególne systemy nawadniające w Omanie różnią się szerokością i głębokością kanałów oraz jakością wody. Dzieli się je na trzy typy. Faladże „dawudi” (23 proc.) to podziemne kanały długości wielu kilometrów, którymi źródłana woda płynie przez cały rok. Niektóre ich odcinki znajdują się nawet 50 m pod ziemią, a kanały miewają do metra szerokości. Faladże „ghajli” (49 proc.) to rodzaj odkrytych rowów, zasilanych głównie wodą z rzek okresowych i stawów – zwykle wysychają podczas pory suchej. Faladże „ajni” (28 proc.) dystrybuują wodę bezpośrednio ze źródeł. Bywa ona słodka, słona, gorąca albo zimna, kwaśna albo zasadowa. Może nawet mieć właściwości lecznicze.



PRANIE W OMANIE

Od tysięcy lat odbywa się tak samo.

Faladż al-Chatmajn w wiosce Birkat al-Mawz w rejonie Dachilijja (Al-Dakhiliyah) to jeden z najważniejszych i najsłynniejszych omańskich systemów irygacyjnych typu „dawudi”. Jest objęty patronatem UNESCO jako reprezentatywny, istniejący od dwóch tysięcy lat, przykład wkładu Omańczyków w rozwój lokalnego rolnictwa i światowe dziedzictwo. Ten dowód „omańskiego geniuszu”, jak czytamy na pamiątkowej tablicy informacyjnej, jest jednym z najstarszych w regionie, ma prawie 2,5 km długości i nawadnia obszar ok. 725 tys. m². Faladż zasilany jest wodą z pobliskiej doliny. Przebiega przez dziedziniec twierdzy Bajt ar-Radida, wybudowanej w XVII w. na polecenie jednego z sułtanów. Dalej kanał biegnie wzdłuż muru miejscowego meczetu. Na tym odcinku jest częściowo zakryty, jednak nad powierzchnią wody znajdują się otwory umożliwiające obmywanie się przybyłym tu na modlitwę muzułmanom. Od tego miejsca woda płynie wartko otwartym kanałem w kierunku palmowych gajów.

Idziemy wzdłuż faladżu, zwyczajem Omańczyków traktując jego płaskie brzegi jako rodzaj chodnika. Wśród bujnej zieleni nad kanałem widzimy po raz kolejny cha-

rakterystyczną i zarazem starą jak świat scenę – piorącą kobietę, która pochyla się nad wodą. Mijamy też kilku młodych chłopców w długich diszdaszach, spacerujących brzegami kanału. Po kilkuset metrach faladż przecina malownicze ruiny dawnej osady. Dziś już nikt tu nie mieszka, starsi ludzie powymierali, a młodzi przeprowadzili się do nowszej części wioski. Mieszkańcy Birkat al-Mawz nazywają te gliniane pozostałości domów na wzgórzu „starym miastem”. Faladż biegnie tędy, wzdłuż

ŻYWE RONDO

Źródło Ajn al-Kasfah bije pomiędzy meczetem, ruchliwą ulicą i zaludnionym placem.





FOT. LONA PETRUSEWICZ

głównej, choć wąskiej uliczki pośród glinianych ścian. Z ruin na wzgórzu rozciąga się widok na całą okolicę – widać stąd plantacje palm daktylowych ciągnące się aż po horyzont.

KĄPIEL W ŚRODKU MIASTA

Na listę UNESCO wpisany jest też faladż al-Mujassar w mieście Ar-Rustak. Ma ponad 2 tys. lat. Jest zasilany wodami spływającymi z dwóch dolin, a jego kanały (typu „dawudi”) biegną 50 m pod ziemią. Korzysta z niego 7 tysięcy osób. System jest bardzo rozległy, ma wiele rozgałęzień, dzięki czemu nawadnia obszar upraw o powierzchni ponad 1,1 mln m². Woda faladżu jest źródłana, jednak trudno ugasić nią pragnienie – ma temperaturę 32°C.

Atrakcję miasta stanowią też gorące źródła. Krystalicznie czysta woda bije spod ziemi pośród skał położonych w samym centrum Ar-Rustaku. Źródło Ajn al-Kasfah znajduje się na sporym placu i przypomina niewielkie szmaragdowe jeziorko. Z jednej jego strony biegnie ruchliwa ulica, z drugiej stoi meczet. Źródło otacza barierka i schodki, którymi można zejść do tafli wody. Wiele osób stara się zamoczyć w niej choćby palec, żeby osobiście przekonać się, że woda jest gorąca (ma 45°C). Tuż obok zaczyna się faladż. Przy samym źródle tworzy on niewielki basen, w którym chętnie pluskają się zarówno Omańczycy, jak i turyści. Siedzą tu zazwyczaj z nogami spuszczone do kanału, a skóra jednych i drugich, śniadych i białych, momentalnie po zanurzeniu staje się czerwona. Nieco dalej wzdłuż faladżu stoją proste kabiny łazienkowe. Można tu, za zasłonką, skorzystać z kąpieli w gorącej wodzie. Niektórzy przyjeżdżają do Ar-Rustaku specjalnie w tym celu, inni nabierają źródłaną wodę w wielkie pojemniki, by potem wykorzystać ją w domu.

Kąpiele w Ajn al-Kasfah stosowane są również leczniczo – wodzie ze źródła przypisuje się właściwości łagodzące choroby stawów i skóry. Za łazienkami faladż biegnie samym środkiem ulicy, oddzielając pasy ruchu. Dalej, już tradycyjnie, woda płynie w kierunku pól uprawnych i gajów, mijając po drodze kolejne kabiny łazienkowe.

W JEDNEJ WODZIE

Gorąca źródłana woda o właściwościach leczniczych płynie najpierw przez miejskie łaźnie, potem samym środkiem jezdni, by w końcu dotrzeć na pola i do gajów.

GWIEZDNE WIEŻE

Misfat al-Abrijin to wioska położona pośród gór, z malowniczymi domami na skałach. Jej najstarsza część tworzy cienisty, gliniany labirynt ciasno przylegających do siebie domów i wijących się pomiędzy nimi dróg. Zachował się tutaj stary faladż z gwiezdными wieżami. W centrum wsi znajduje się otoczony kwitnącymi na różowo bugenwillami rezerwuár, wciśnięty pomiędzy stare domy, krzaki jaśminu, bananowce i palmy daktylowe. Łączy się z nim kilka kanałów faladżu – jedne doprowadzają tu wodę, inne odprowadzają ją dalej. W określonych porach woda jest stąd wypuszczana i kierowana w stronę ogrodów i pól uprawnych. Przy rezerwuarze stoją dwie kabiny kąpielowe, z których tutejsi mężczyźni chętnie korzystają, zwłaszcza w letnie wieczory. Woda tryska tu tak silnym strumieniem, że kąpiący się w niej z trudem utrzymują się na nogach.

Nieopodal znajduje się miejsce, gdzie mieszkańcy wioski czerpią wodę pitną. Jest tu kilka kranów i kamienne umywalki, a na sznurach nad nimi wiszą charakterystyczne gliniane dzbanki – przechowywana w nich woda



PODGLĄDĄCZ

Wielojęzyczna tablica informacyjna strzeże prywatności kobiet korzystających z faladżu.

jest zawsze chłodna. W czasach, gdy nie było jeszcze lodówek, w arabskich domach wodę do picia trzymano właśnie w tego typu dzbankach. W innych zakątkach wioski napotykamy kolejne łazienki i miejsca przeznaczone do mycia, osobne dla mężczyzn i kobiet.

Z tarasu tutejszego meczetu rozciąga się wspaniały widok na całą dolinę, niewielkie tarasowe poletka uprawne na jej zboczach i zielone pióropusze palm w dole wąwozu. Jak oniemiała patrzymy przed siebie.

– *Raj!* – mówi w uniesieniu ktoś z nas, pró-



OMAŃSKA PROMENADA

Czas nad faladżem w Omanie, podobnie jak na każdym deptaku, płynie niespiesznie.



FOT. LONIA PETRUSEWICZ

MURY KRUSZEJĄ, A WODA PŁYNIE

Stary faladż ze źródłaną
wodą płynącą przez
ruiny wymarłego miasta
Birkat al-Mawz.

bując nazwać to, co mamy przed oczami.

– *Dolina* – mówi spokojnie stojący obok nas starzec z długą białą brodą, garbatym semickim nosem i laską. W tym jednym słowie zawiera wszystko.

Wystarczy kwadrans, by idąc stąd wzdłuż faladżu, dotrzeć do zasilającego go źródła wody. To dzięki niemu okolica wprost kipi bujną zielenią.

Na grzbiecie sąsiedniego zbocza widzimy stojące w różnych odległościach od siebie kamienne słupki. To gwiazdne wieże – pochodzą z czasów, gdy jeszcze nie znano zegarów i pełnią w nocy podobną funkcję, jak zegar słoneczny za dnia. Dotarcie danej gwiazdy w jej conocnej wędrówce po niebie do punktu znajdującego się dokładnie nad wieżą jest znakiem dla miejscowego „wodomistrza”. Sygnalizuje, że nadeszła pora skierowania strumienia wody w faladżu z jednego pola na drugie, aby wszyscy mieszkańcy wioski korzystali z niej w równym stopniu.

DAR DOBRYCH DŻINNÓW

Racjonalne i sprawiedliwe gospodarowanie wodą wiąże się z ugruntowanym przez wielki poczuciem wzajemnej zależności wszystkich członków wspólnoty. Koczownicy arabscy od najdawniejszych czasów organizowali się w plemiona, a ustrój społeczeństwa beduińskiego uznawany był za najdoskonalszy wzór. Kodeks beduinów obejmował cnoty, z których Arabowie słyną do dziś, m.in. męstwo, szlachetność, honor i gościnność.

Przy faladżach napotykamy różne tabliczki informujące, że ich ochrona to „ludzki obowiązek”, a „woda jest cenna”. Inne przypominają, żeby nie używać kosmetyków ani detergentów („nie zanieczyszczaj faladżu – dostarcza on naszej społeczności wody do picia i nawadniania pól”), szanować prywatność mieszkańców wiosek („uszanuj miejsca przeznaczone tylko dla kobiet”) oraz ich uprawy („nie deptaj trawy, nie zrywaj owoców ani warzyw – to nasze źródło utrzymania”).

Ponad 30 procent ziem uprawianych obecnie w Omanie nawadniana jest przez systemy irygacyjne. Do dziś nie wiadomo, kto i kiedy właściwie je wynalazł. Według legendy jest to zasługa dżinnów. ○

NAJLEPSZE UBRANIA OUTDOOROWE:

TURYSTYKA GÓRSKA

WSPINACZKA

TREKKING

WYPRAWY

SKITOURING

NARCIARSTWO



*Editors
Choice*

FRIDAY

GUIDE

Lekka kurtka ochronna o maksymalnej funkcjonalności. Atrakcyjny, techniczny krój. Bezkompromisowy model dla wymagających użytkowników. Idealnie sprawdza się jako kurtka awaryjna do najbardziej ekstremalnych aktywności outdoorowych.

Membrana:
20 000 mm H₂O / 20 000 g/m²/24

Ezanagi

RECCO

CRUISE / CRUISE LADY

Lekkie spodnie techniczne - oddychające i wiatroodporne. Wykonane z bardzo trwałego, elastycznego materiału. Uniwersalne. Latem w górach - niezastąpione.



CORDEKA

CORDURA



CERRO TORRE

Uniwersalna kurtka do całorocznego użycia. Zapewnia komfort i swobodę ruchów podczas każdej outdoorowej aktywności: pieszo i na rowerze, w górach i na biwaku...



KAISER / CIVETTA

Lekkie spodnie o technicznym wspinaczkowym kroju. Idealne na wielowyciągówki, w skałki, na via ferraty lub wymagający trekking.

WYŁĄCZNY PRZEDSTAWICIEL:
PH.U. AMC sp.j. info@amc.krakow.pl
www.directalpine.co



Cyprus Expeditions - wild nature

... pieszo przez Cypr

Spragnieni przeżycia górskiej przygody i chętni kontaktu z dziką przyrodą, Rafał Król – podróżnik i polarnik oraz Sławek Krotoszyński – student z Gdyni, postanowili zorganizować wyprawę, której głównym celem będzie odkrywanie północnego pasma masywu Beşparmak. Chcą zdobyć jego najwyższy szczyt – Selvili, poczuć nieograniczone

przestrzenie północnego Cypru, odnaleźć ruiny klasztorów oraz średniowiecznych zamków i udokumentować to wszystko zdjęciami i filmami.

Trasa, w którą wyruszają pod koniec lipca, ma wieść od portowego miasta Kyrenia, przez masyw górski ze zdobyciem szczytu, który przypomina pięć palców, i dalej, gdzie ich nogi poniosą.

Trasa, którą zamierzają przebyć, nie jest „wysokościowo” bardzo wymagająca, ale temperatury powyżej 45 stopni, słońce, ciężkie plecaki i problemy z wodą, sprawiają, że będzie ona bardzo trudna. Jeśli wszystko się uda, Rafał i Sławomir będą pierwszymi Polakami, którzy przeszli ten masyw.

www.expeditions.pl

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

AFGAŃSKIE BŁYSKOTKI



FOT. EUGENIUSZ HELBERT



FOT. EUGENIUSZ HELBERT



FOT. EUGENIUSZ HELBERT



FOT. EUGENIUSZ HELBERT

W muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie od 20 czerwca do 15 października oglądać będzie można wystawę „BIŻUTERIA ETNICZNA AFGANISTANU”. Ukazuje ona bogaty i reprezentatywny zbiór kobiecej biżuterii. Można na niej zobaczyć ozdoby koczowniców kuczy, z wielobarwnymi paciorkami i szkiełkami, brzęczącymi łańcuszkami i monetami. Wystawiane też będą unikatowe naszyjniki-obręcze tajemniczych ludów dardyjskich, zdobione turkusami i lazurytami; malownicze czapeczki, niemal całkowicie pokryte elementami biżuterii. Nosi się je do dziś w wielu grupach etnicznych zamieszkujących Afganistan. Wystawa pokaże także rozpowszechnione w muzułmańskim świecie amuletnice – pojemniczki zawierające zwitki z wersetami z Koranu, które mają chronić właściciela przed urokiem, chorobą i wszelkim złem. Organizatorzy mają nadzieję, że w dobie

„mody na etniczność”, bogactwo ornamentyki i niepowtarzalność form prezentowanej biżuterii staną się nie tylko kolejnym źródłem inspiracji, ale i zachętą do bliższego poznania tej odległej kultury. Wystawie będą towarzyszyć imprezy popularyzujące kulturę i sztukę Afganistanu: prelekcje, prezentacje slajdów oraz pokazy tradycyjnych tańców.

IMPREZY
TOWARZYSZĄCE
WYSTAWIE
W GALERII
AZJATYCKIEJ:

3 lipca godzina 18.00

KONCERT MUZYKI PERSKIEJ
wystąpią muzycy z Iranu: Shahab Aliasgharzadeh (tombak), Mohsen Hosseini (tar), Mohammad Rasouli (nej).

22 lipca godzina 18.00

WARSZTATY GRY NA BĘBNIE TOMBAK

www.muzeumazji.pl muzeumazji.blogspot.com

LATAWCE W GÓRĘ

W 2011 roku, po dziesięciu latach, Festiwal Latawca przeniósł się z Darłówka do Łeby. W tym roku od 30 czerwca do 4 lipca odbędzie się jego XII edycja. Impreza z roku na rok rozrasta się, przybywa uczestników z kraju i zagranicy. Tym razem zapowiedzieli się zawodnicy z Polski, Niemiec, Belgii, Ukrainy i Chin. Goście zza Wielkiego Muru będą uczestnikami festiwalu pierwszy raz. Swoje przybycie uświetnią puszczaniem ogromnego latawca w kształcie smoka.

Podczas tegorocznego festiwalu będzie okazja podziwiać zawody Rokkaku, podczas których każdy z zawodników sterując latawcem jednolinowym, wytrąca latawce przeciwników ze stabilnego lotu. Odbędą się też zawody latawców akrobacyjnych i trikowych. Na miejscu będzie można także nauczyć się je pilotować.

Organizatorem zawodów jest Wilła Latarnik i Stowarzyszenie Sportów Latawcowych.

www.latarnik.eu

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

900 KILOMETROWY SPACER Z PSEM

Martyna Trocha, młoda amatorka gór, zamierza w zaledwie 60 dni przejść przez polskie góry z zachodu na wschód. Towarzyszyć jej będzie nieodłączny kompan podróży – pies Banjo. Chce w ten sposób promować nasze góry oraz parki narodowe, a także zwrócić uwagę na problem bezdomności psów. Podczas wyprawy prowadzona będzie zbiórka pieniędzy na Fundację „Husky Adopcje”.

Martyna zadbała o oficjalne pozwolenia na przejście przez teren parków narodowych z psem

www.wloczylapki.blog.pl

FOT. KAZIMIERZ TROCHA

ZŁOT WYSOKICH ŁÓDZI



The Tall Ships' Races, będące największym żeglarskim wydarzeniem Europy, to zlot oraz regaty wielkich żaglowców z całego świata. Impreza odbywa się od 1956 roku i skupia w jednym miejscu kilkadziesiąt jednostek, takich jak Sedov, Mir, Alexander von Humboldt czy Dar Młodzieży. Olbrzymim statkom towarzyszą setki kilkunastometrowych jachtów. Każdego lata żeglarze próbują swoich sił w dwóch lub trzech wyścigach odbywających się na wodach Morza Bałtyckiego i Północnego. Po trudach morskich zmagani na uczestników czeka zasłużony odpoczynek w portach, do których za sprawą TTSR ściągają miliony turystów. Tegoroczne regaty to nie lada gratka dla wielbicieli morza. Wielkie żaglowce wypłyną na Ocean Atlantycki i odwiedzą porty Półwyspu Iberyjskiego oraz Irlandii. Tam nasz kraj będzie dumnie reprezentowany przez grupę studentów gdańskich uczelni, która wystartuje na 16-metrowym jachcie Pacifica. Pod patronatem miesięcznika Poznaj Świat w regatach wystartuje drużyna studentów Politechniki Gdańskiej.

www.ttsr2012.wordpress.com

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

PAMIR EXPEDITION 2012

FOT. MAGDALENA PRASK



Pamir to łańcuch górski w Azji Środkowej, położony na terenie Kirgistanu, Tadżykistanu, Afganistanu i Chin. To trzecie najpotężniejsze góry świata, po Himalajach i Karakorum. Główne pasmo ma długość 150 km i kryje w sobie ponad 7 tysięcy lodowców. To góry dzikie, niedostępne i niebezpieczne. Już po raz kolejny w Pamir wybiera się zdobywczyni Mount Everestu – Magdalena Prask. Jak sama mówi: „Chcę pokazać, że choć zdobycie Mount Everestu jest dla wielu wspinaczy zwieńczeniem górskiej

działalności, dla mnie stało się to początkiem kolejnych górskich wyzwań”. Jej wyprawa PAMIR EXPEDITION 2012 ma na celu zdobycie dwóch siedmiotysięczników położonych na terytorium Tadżykistanu: Szczyt Ismaila Samaniego (dawniej Komunizmu) 7495 m n.p.m. oraz Szczyt Korżeniewskiej 7105 m n.p.m. Wyprawa jest realizowana w ramach Programu „2011 – 2013 Śnieżna Pantera”. Więcej na stronie: www.magdalenaprask.pl

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

HOŻY DOKTORZY PROJEKT CHAARIA 2012



FOT. KAMIL SZTOF PLAT

Trzech absolwentów medycyny – Michał, Damian i Czarek wyruszy na początku lipca do szpi-

talnego obszaru, pacjenci podróżują średnio 6-8 godzin, by uzyskać pomoc. Podstawowym problemem jest

brak personelu medycznego. Przy liczbie pacjentów odpowiadającej średniemu szpitalowi w Polsce, jest tam zaledwie kilku lekarzy zatrudnionych na stałe. Wyjazd jest spełnieniem marzenia jeszcze z początków studiów. Planowali wówczas, że wykorzystają swoją wiedzę i umiejętności, aby nieść pomoc medyczną ludziom w biednych krajach świata. Wyprawa potrwa od 7 lipca do 24 sierpnia. Więcej informacji na blogu: www.chaaria2012.blogspot.com

Wyjazd jest spełnieniem marzenia jeszcze z początków studiów. Planowali wówczas, że wykorzystają swoją wiedzę i umiejętności, aby nieść pomoc medyczną ludziom w biednych krajach świata. Wyprawa potrwa od 7 lipca do 24 sierpnia. Więcej informacji na blogu: www.chaaria2012.blogspot.com

Wyjazd jest spełnieniem marzenia jeszcze z początków studiów. Planowali wówczas, że wykorzystają swoją wiedzę i umiejętności, aby nieść pomoc medyczną ludziom w biednych krajach świata. Wyprawa potrwa od 7 lipca do 24 sierpnia. Więcej informacji na blogu: www.chaaria2012.blogspot.com

Więcej informacji na blogu:

www.chaaria2012.blogspot.com

WYSPA JAK LABORATORIUM



Spitsbergen 2012 to studencki projekt naukowo-badawczy organizowany przez Lilianę Siekacz, studentkę geografii na UAM. Celem jest wyprawa na wyspę, gdzie będą prowadzone badania z zakresu geomorfologii, glaciologii i dendrochronologii. Stacja Polarna Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza – 78°42' N, 16°36' E jest najdalej wysuniętą na północ polską

stacją badawczą. Znajduje się w obrębie zatoki Petunia – północnej odnogi Insfjordu, największego systemu fiordowego Svalbardu. Spitsbergen od początków rozwoju nowoczesnej nauki był miejscem eksperymentów i studiów we wszystkich dziedzinach nauk przyrodniczych. Jego unikatowe środowisko, nakładanie się wpływów prądów oceanicznych, działalność

procesów rzeźbotwórczych, życie organiczne i wiele innych czynników, uczyniło z tej wyspy ogólnoswiatowe laboratorium. Dzięki obserwacjom lodowców można stwierdzić kierunek zmian klimatu i przewidzieć charakter ważnego zjawiska, jakim jest podnoszenie się poziomu oceanów.

Więcej na:

www.spitsbergen2012.blogspot.com



PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

MOŻE CHCESZ POZNAĆ MORZE...

Ośrodek Kultury Morskiej to najnowszy oddział Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku. Muzeum wykorzystuje technologie multimedialne, interaktywne techniki przekazu i prezentacje audiowizualne. Na stałe prezentowana jest tu między innymi wystawa „Ludzie, statki, porty”, która przedstawia problematykę morską, od zagadnień związanych z budownictwem okrętowym, przez technikę morską i życie na morzu, po archeologię podwodną. Można się dowiedzieć, jak powstaje wir wodny, a nawet wywołać falę tsunami. Najmłodsi mogą wcielić się w rolę kapitana, dowodzić jednostką z pokładu mostka kapitańskiego i nauczyć się alfabetu Morse’a. Największym zainteresowaniem cieszy się ba-

sen ze sterowanymi modelami jachtów, holowników i kontenerowca.

W dziale „Życie na statku” dzieci mogą przebrać się za marynarza, kapitana i pirata. Dowiedzą się o ratownictwie morskim, założą kamizelki ratunkowe, obejrzą tratwę ratunkową i poznają sygnały ratownicze. Z kolei w strefie „Archeologii podwodnej” czeka stanowisko z dzwonem nurkowym i sprzętem do badań archeologicznych. Można spróbować odszukać zakopane w piaszczystym dnie skarby, odbyć wirtualną wycieczkę batyskafem na dno oceanu i poznać działanie echosondy.

Więcej informacji na: www.cmm.pl

AMERYKA POŁUDNIOWA | Panama

Tomasz Zakrzewski

Darién

JĄDRO CIEMNOŚCI

FOT. MARTA KULANOWSKA





Darién to skrawek ziemi oddzielający Amerykę Północną od Południowej. Geograficzna granica przebiega w innym miejscu, jednak to Darién przyjęło się określać jako naturalną barierę przedzielającą kontynenty. Stało się tak za sprawą budowy drogi panamerykańskiej, która miała przebiegać zachodnim wybrzeżem obu Ameryk.

Ponad dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów asfaltu miało połączyć krąg polarny na Alasce z miastem Ushuaia w Argentynie. Okazało się jednak, że dżungla Dariénu jest bardziej niedostępna, niż mogłoby się wydawać. Maszyny odmawiały posłuszeństwa, ludzie padali z wycieńczenia, rażeni jadem zwierząt czy chorobami tropikalnymi. Prace musiały stanąć, a ruszyć na nowo mogły dopiero po drugiej stronie tej nieprzejednanej krainy.

PRZEBYĆ PRZESMYK

Z roku na rok nowe zagrożenia czekały na wszystkich śmiałków, którzy zdecydowali się zapuścić na przesmyk Darién. Największym zagrożeniem stawał się człowiek. Miejscowe plemiona Indian płaciły coraz wyższą cenę za kontakty z obcymi, więc były do nich coraz gorzej nastawione. W latach osiemdziesiątych na wielką skalę rozrósł się handel kokainą. Coraz więcej ludzi było weń zaangażowanych, gotowych na wszystko w imię pieniędzy. Niegościnna dżungla Dariénu okazała się wspólnym szlakiem przerzutowym z Kolumbii do Panamy. Kurierzy wędrowali częściej i w coraz

POŻEGNANIE Z CYWILIZACJĄ

Pavarando, wioska
Indian Embera-Wounaan,
ostatnia osada na
szlaku.



mocniejszej obstawie. W tym samym czasie rosła w siłę kolumbijska partyzantka FARC, która chętnie zapuszczała się w tamte rejony.

Tylko najwięksi twardziele i awanturnicy pchali się w ten zakątek świata. Rocznie przesmyk pokonywało kilkudziesięciu podróżników. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych zrobiło się groźniej i poszukiwacze przygód coraz częściej stamtąd nie wracali. Stało się tak za sprawą wojny w Kolumbii i płaszcza ochronnego, jaki dawała dżungla Dariénu wszelkiej maści rzezimieszkom.

Jednak niebezpieczeństwo i ryzyko, a także dzika dżungla, która tylko w tym jednym miejscu na świecie oparła się cywilizacji – nadal kusily śmiałków. Napór nie słabnie i dżungla kiedyś odpuści. Cieszę się, że mam szczęście żyć w czasach, kiedy Darién jest ciągle górą.



TATUAŻE I PALOMA

Pierwsza wioska, do jakiej trafiamy, to Rio Tigre. Prowadzi nas do niej młody chłopak poznany jeszcze na statku płynącym z Panama City. Jest kacykiem wioski, bardzo poważanym i zaradnym, o czym niebawem się przekonamy, bo to najbardziej rozwinięta i zagospodarowana wioska, jaką odwiedzimy. Na przywitanie wychodzą dzieci i miejscowe kobiety, przyodżiane tylko w kolorowe przepaski na biodrach, zwane paloma. Swoje ciała przyozdabiają kolorowymi naszyjnikami i tatuażami z tropikalnego owocu jagua.

Rytualne zdobienie ciała stanowi jedną z podstawowych tradycji Indian Embera i Wounaan. Tatuują się zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Ma to na celu nie tylko przyozdobienie ciała, ale podobno też chroni skórę przed różnego rodzaju insektami. Do ulubionych ry-

sunków należą wzory w kształcie rombu czy trójkąta. Tradycyjnym strojem mężczyzn jest przepaska okrywająca intymne części ciała, jednak dziś większość panów nosi spodnie.

KLUCZĄC W DŻUNGLI

Na początku jest łatwo. Idziemy przez wielką plantację bananów, a potem wzdłuż koryta szerokiej rzeki. Trudności zaczynają się na podejściu pod kilkusetmetrowe wzniesienie. Spiekota, duża wilgotność i wysiłek fizyczny dają o sobie znać. Oddech staje się szybszy, plecak cięższy, a las tropikalny gęstszy. Coraz częściej robimy przerwy, na co z niezadowoleniem patrzy Alfonso, bo tempo mamy słabe. Dodatkowym utrudnieniem jest nieustające pragnienie. Gdy zabraknie wody, siły człowieka opuszczają bardzo szybko. Robi się sucho

MY, Z KLUBU DARIEN

Michał Zieliński,
Krzysztof Strój, Michał
Kowalski i Tomasz
Zakrzewski.



FOT. LUKASZ CZESZCZAK

JAK SOBIE WYTNIESZ, TAK SOBIE PRZEJDZIESZ

Ostra maczeta jest niezbędnym sprzętem dla każdego, kto chce „pospacerować” po dżungli.

w gardle, skóra przestaje się pocić i słabnie psychika. Instynkt samozachowawczy podpowiada, żeby się zatrzymać. Stanąć jednak nie wolno, bo to przecież nieznacznie tylko zmieni sytuację – zmniejszy odczucie zmęczenia, ale pragnienia nie zaspokoi.

Na górze trudno znaleźć wodę. Jeżeli się skończy, trzeba jak najszybciej kierować się w dół w poszukiwaniu rzeki. Choć wzniesienia nie są wysokie, stoki są bardzo strome, gęsto porośnięte roślinnością, nie zawsze przyjazną człowiekowi. Niektóre drzewa i pnącza są pokryte mikroskopijnymi kolcami, które ranią ręce. Czasem podszycie staje się tak gęste, że nie sposób się przez nie przedrzeć – wtedy trzeba przeszkodę ominąć. Kluczyć trzeba cały czas, niemożliwe jest kierowanie się na wskazania azymutu. Góry wydają się nie mieć końca, za jedną pojawia się następna, a potem kolejna.

Trzeciego dnia karkołomnej wędrówki decydujemy się na zmianę strategii i maszerowanie wzdłuż koryta rzeki. Okazuje się to jednak nie najlepszym pomysłem, ponieważ

eliminuje tylko trudną wspinaczkę, ale wcale nie podnosi tempa marszu. Rzeka kluczy, co chwila zmieniając kierunek o sto osiemdziesiąt stopni. Dno jest pokryte kamieniami, napotykamy przeszkody w postaci wielkich głazów, głębokiej wody i zwalonych drzew. Okazuje się, że po całodzinnej wędrówce, zamienionej w istną batalię z własnymi słabościami, zbliżyliśmy się do wyznaczonego celu o zaledwie dziewięćset metrów w linii prostej.

NIE DAĆ SIĘ ZABIĆ

W czasie marszu odkrywamy prawdziwą moc i potęgę natury. Zaczynamy lepiej rozumieć czyhające zagrożenia. Alfonso dwa razy natrafia na ślady jaguara, którego jest bardzo trudno spotkać. Nasz myśliwy widział go zaledwie trzy razy w życiu. Łukasz wpada w rój pszczół, które bronią gniazda, dotkliwie go żądł. Z ciężkim plecakiem ucieka przez gęste krzaki z lekkością baletnicy. Możemy tylko obserwować jego poczynania ze wzniesienia. Mija dosłownie



FOT. TOMASZ ZAPRZEŃSKI

ZACZERPNAĆ TCHU

Zmęczony Łukasz i wyczerpany Paweł, a w środku miejscowy przewodnik Alfonso. Jak widać, jemu tchu nie brakuje.

chwila od tego zdarzenia, kiedy przewodnik pokazuje roślinę, której nie wolno dotykać, ponieważ jej sok jest silnie toksyczny. W kontakcie z okiem może doprowadzić do utraty wzroku. A przecież co chwilę każdy z nas ociera pot z czoła ręką, która przed momentem chwyciła cokolwiek dla podtrzymania równowagi.

Lena już po raz drugi natrafia na węża. Alfonso oznajmia, że jego jad jest śmiertelny. Chce go zabić, ale nie pozwalamy mu na to. Jako częściowy daltonista mam problem z dostrzeżeniem gada. Wszyscy widzą go z daleka – ja dopiero na powiększonym zdjęciu. Świadomość tego, że następnym razem mogę iść pierwszy i nie zauważyć w porę zagrożenia, jest paraliżująca. Nie mam jednak czasu zastanawiać się nad tym, ponieważ właśnie zaczyna padać.

Leje krótko, ale za to bardzo intensywnie. Mokre jest wszystko, nawet niespecjalnie opłaca się wyjmo-

wać pelerynę. Najważniejsze, aby mieć dobrze zabezpieczone rzeczy w plecaku. Wszystko musi być popakowane szczelnie w plastikowe worki. Trzeba mieć zawsze jedną parę ubrań na zmianę. Zasada jest taka, że w suchych się śpi, a w mokrych chodzi. Najmniej przyjemną częścią dnia jest poranek, kiedy trzeba włożyć mokre ubranie i ruszyć w trasę.



FOT. MARTA POLANOŃSKA

ŚMIERTELNA NIESPODZIANKA

Jadowity wąż kamuluje się na naszym szlaku.



MIESIĘCNIK, KTÓRY UZALEŻNIA OD CZYTANIA I PODRÓŻY

O stopy trzeba dbać szczególnie, choć trudno jest utrzymać suchą w gumowcach, bo często wlewa się do nich woda, a i stopa się poci. Bardzo ważne jest przestrzeganie podstawowych zasad ostrożności, jak wytrzepywanie buta przed jego założeniem, aby sprawdzić czy coś wcześniej nie weszło do środka.

Ktoregoś dnia rano, po przejściu paru metrów od rozpoczęcia marszu, czuję silne ukłucie w dużym palcu lewej stopy. Wiem od razu, że ugryzło mnie coś dużego, nie wiem jeszcze co. Z wytrzezanego kalosza wypada pająk, jest ogromny, wielkości męskiej dłoni. Okazuje się, że to ptasznik, jego jad wprowadzić nie jest śmiertelny, ale bolesny. Potrafi sparaliżować całą kończynę, zaś przesywający ciało ból – wyeliminować człowieka z jakiegokolwiek aktywności na kilkadziesiąt godzin. Mnie nic nie boli, przewodnik jednak informuje, że toksyna zacznie działać dopiero po kwadransie. Nie ma rady, trzeba iść dalej, jak już zacznie działać, to będę się martwił. Okazuje się, że nic się nie dzieje, czyli ptasznik nie miał jadu, bo zużył go

wcześniej, albo go oszczędzał. W każdym razie miałem więcej szczęścia niż rozumu.

LEKCJA NA ZAWSZE

Przez kluczenie w dżungli spędzamy w niej więcej czasu niż zakładaliśmy. Kończy się jedzenie, a przy takim wysiłku głód doskwiera ze zdwojoną mocą. Rozdzielamy resztki batonów równo między siebie, ale to bardzo mało pożywienia, jak na kilka dni marszu, które mamy w perspektywie. Na szczęście, wieczorem Alfonso zławia sporo krewetek, znajduje kilka ślimaków i gotujemy pyszną zupę.

W końcu decydujemy się zawrócić. Nie mamy czasu, by kontynuować próbę przedarcia się do koryta rzeki Balsas. Mając w perspektywie lot powrotny do Europy, trzeba dobrze liczyć pozostające w rezerwie dni. Musimy mieć jeszcze czas na powrót do Panama City. Czy dżungla nas pokonała? Nie mamy takiego poczucia, bo przecież ciągle żyjemy. Lekcję, jaką dostaliśmy, zapamiętamy na zawsze. ○



ERGO
HESTIA®

Hestia Podróże

Ubezpiecz się i wypoczywaj bezpiecznie

- sam decydujesz o zakresie ubezpieczenia i czasie trwania umowy
- jesteś chroniony 24 godziny na dobę, w każdym miejscu na świecie
- Centrum Alarmowe Assistance dostępne całą dobę

... na wszelki wypadek

Cena od 2,50 zł na dzień
w wariantcie Basic, pod warunkiem wyjazdu na co najmniej 2 dni.

Infolinia: 801 107 107
www.ergohestia.pl

EUROPA | Włochy

FOT. SEBASTIAN SZADE

Sebastian Szade

SŁOŃCE I CIENIE NEAPOLU

Europejska stolica chaosu, uosobienie wszelkich plag trawiących Włochy, a jednocześnie miasto pełne uroku i nobliwych zabytków.

Wielu z ponad 40 milionów turystów, którzy rokrocznie odwiedzają Półwysep Apeniński, szerokim łukiem omija to miasto. Odstrasza ich opinia, która mu towarzyszy. Ale to nie my... Witajcie w Neapolu!

Sam Johann Wolfgang Goethe, podczas młodszej podróży po Europie, szczególnie estymą obdarzył to włoskie miasto. I to na jego cześć ukuł owe „Zobaczyć Neapol i umrzeć!”.

Przez wieki przewinął się tutaj istny korowód – władców, dynastii oraz państwowych twórców. W liczącej blisko dwa i pół tysiąca lat historii Neapol był zarówno grecką kolonią, jak i rzymskim kurortem dla elit Cesarstwa. Rządzili nim Normanowie, Hohenstaufowie i hiszpańscy Burbonowie. Pozostawili po sobie wspaniałe kościoły, pałace i zamki. Jego nadmorskie położenie od zawsze sprzyjało handlowi, który przekładał się na zamożność tutejszego kupiectwa. Jednak współczesny turysta wie, że Neapol dał światu: pizzę, spaghetti napoli oraz włoskie lody.



CAMORRA I ŚMIECIOWE ELDORADO

Ostatnimi czasy Neapol, jeżeli pojawia się w agencyjnych wiadomościach, to najczęściej w kontekście negatywnym. Gdyby Goethe wiedział, co stało się z jego miłością, zapewne cierpiałby nie mniej niż młody Werter. Od kilku już dekad miasto zmagają się z dwoma zagrożeniami. Pierwsze – to lokalne organizacje przestępcze, czyli Camorra. Drugie – to śmieci.



Aleksandra Lech
Biuro Ubezpieczeń
Indywidualnych Ergo
Hestii

Wybierając ubezpieczenie na czas wyjazdu na Półwysep Apeniński należy zwrócić uwagę na barierę językową. Choć turyści często decydują się na wyjazd do Włoch, tamtejsi mieszkańcy często nie znają obcych języków. Dlatego ważne jest, aby operator centrum alarmowego mówił po polsku i pomógł zorganizować pomoc na miejscu.

Warto sprawdzić, gdzie znajduje się placówka dyplomatyczna RP, na wypadek kradzieży dokumentów lub konfliktu z prawem. W takich wypadkach pomocne może się również okazać posiadanie przy sobie numeru do Centrum Alarmowego i numeru polisy. W ramach ubezpieczenia Hestia Podróże w wariantie rozszerzonym i pełnym klient ma również zapewnioną ochronę prawną (zastępstwo procesowe) odpowiednio do 8.000 lub 12.000 PLN.

Podróżnicy powinni zwrócić uwagę na ewentualne koszty leczenia z uwzględnieniem zakresu i sumy ubezpieczenia. Ubezpieczenie powinno obejmować NNW, koszty transportu z miejsca zdarzenia, a także usługę assistance. Osoby chore przewlekłe powinny rozszerzyć zakres ubezpieczenia o następstwa choroby. Zwłaszcza w przypadku różnic klimatycznych, wysokiej temperatury, różnic ciśnienia i wysiłku związanym z wyprawą.

Chcąc się ubezpieczyć na okres wyjazdu na południe Europy w Ergo Hestii, klient ma do wyboru 3 zakresy oraz rozszerzenia. W tym przypadku rekomendowana suma ubezpieczenia na koszty leczenia powinna wynieść minimum 40 tys. Euro. Na taki wyjazd zalecany jest Wariant Rozszerzony.

Któż nie pamięta „Ojca chrzestnego” i eleganckich panów w garniturach z ich gangsterskim kodeksem? Cóż, tutaj tego nie znajdziecie. Od samego swojego powstania Camorra skupiała przeważnie rzezimieszków pozbawionych finezji i skrupułów. Jako pierwsza zaczęła handlować narkotykami (mafia przez lata trzymała się od nich z daleka) i nie wahała się współpracować z gangsterami z byłego Związku Radzieckiego czy Chin. Jest luźną konfederacją wolnych watażków, którzy równie brutalnie obchodzą się z wrogami, jak i z samymi sobą. Mimo wieloletniej wojny włoskiego aparatu państwowego z Camorrrą, ta nadal istnieje i ma się dobrze. Nic dziwnego, skoro jej główny zarobek leży, i to dosłownie, na ulicach miasta.

Neapol i jego okolice od lat cierpią na przeludnienie. Rozwój miasta nigdy nie szedł w parze z troską o infrastrukturę, szczególnie komunalną, która od lat była areną bałaganu i łapówkarstwa. W efekcie aglomeracja zaczęła

tonąć w śmieciach, a ich usunięcie stało się zadaniem tak samo pilnym, co intratnym. Firmy sektora komunalnego zostały przez Camorrrę szybko opanowane. Jedne za drugimi, wyrosły nielegalne składowiska, które zaczęły zatrzymywać glebę, prowadząc do powstania słynnego „trójkąta śmierci” – obszaru, gdzie dewastacja środowiska przyczyniła się do wysokiej zachorowalności na raka oraz inne choroby.

W kryzysowych okresach Neapol dosłownie tonął w górach śmieci. Na ulice wychodzili zdesperowani, protestujący mieszkańcy. Istniało realne niebezpieczeństwo wybuchu pandemii wywołanej rozkładającymi się w słońcu resztkami. Cały cywilizowany świat patrzył na Neapol z mieszaniną zdziwienia i obrzydzenia. Ów węzeł gordyjski doprowadził nawet do dymisji rządu, sprawiając, że Włochy stały się krajem, w którym nowy premier (wówczas powracający Berlusconi) zaczynał od obietnicy zajęcia się śmieciami.



GENTILE ZNACZY ŁAGODNIE

Łagodnie rzecz ujmując, śmieci zaczynają być delikatnym problemem Neapolu.



EUGENIO, CZYLI NEAPOLITAŃCZYK

Nasz gospodarz to neapolitańczyk z krwi i kości. Prowadzi niewielki hostel i chociaż przedsięwzięcie dopiero się rozkręca, nie mamy wątpliwości, że z takim właścicielem jest skazane na sukces. Eugenio nie czeka na nas, jedynych swoich gości, z założonymi rękoma. Postanawia wyjść naprzeciw. Kiedy ów postawny jegomość, o kubaturze niedźwiedzia i aparycji człowieka na bakier z prawem, woła do nas z daleka, czujemy się nieswojo. Surową fizjonomię szybko jednak rozjaśnia radosny uśmiech, który już do końca naszej znajomości nie schodzi mu z twarzy.

Chociaż angielski Eugenia jest, łagodnie mówiąc, na poziomie kreskówek dla dzieci, dogadujemy się bez problemu. Brakujące słowa nasz „hostelarz” uzupełnia włoskimi albo dynamiczną mimiką, która mogłaby opisać nawet teorię względności. Eugenio, w końcu Włoch, mówi dużo. Bardzo dużo. Najpierw objaśnia nam działanie wszystkich hostelowych urządzeń (włącznie ze zwykłym kranem

– wszak nie wiadomo czy mamy u siebie bieżącą wodę), a następnie wyciąga mapę i pokazuje miejsca godne uwagi. Papier pokrywa się zakreszeniami, ścieżkami i wykrzyknikami. Te ostatnie symbolizują okolice, gdzie lepiej nie wchodzić, chociaż Eugenio co chwila zapewnia, że Neapol, jako taki, jest oazą bezpieczeństwa.

ZABRUDZONE ŚLADY CZASU

Porankiem, w asyście pięknego słońca i wiosennych temperatur, przekraczamy próg miejskiej bramy Castel Gapuano i wступujemy do przedziwnego świata Centro Storico. Ta część miasta, którą wypada nazwać „starówką” składa się z gęstej sieci: ulic, uliczek i ciasnych „kiszek”, tworzących na mapie ogromny labirynt. Poza kilkoma kościołami i pałacami nader trudno określić, ile lat mają poszczególne, przeważnie mieszkalne, budynki. Elewacje niemal wszystkich są prawie czarne od brudu i spalin, zamazujących jakiegokolwiek ślady czasu.

PAMIĘTAJCIE O POMPEJACH

Dostojny Wezuwiusz górujący nad błękitem Zatoki Neapolitańskiej przypomina, że w tym miejscu to do niego może należeć ostatnie słowo.



Ściany strzelają do góry, sprawiając, że w wielu zaułkach panuje półmrok. Niektóre miejsca wyglądają jakby nigdy nie widziały światła. Z ciekawością zanurzamy się więc w kolejne zakamarki, dając się uwieść grze, jaką prowadzą tu siły słońca i ciemności.

Koło nas, mimo iż miejsca niewiele, buzuje ruch uliczny. Klimaty jak w odległej Azji. Co chwila mijają nas kolejne brzęczące skuterki. Czasami też, choć wydaje się to niemożliwe, wąskimi drózkami przemykają samochody. Po obitych zderzakach widać, że jazda po Neapolu to niełatwa sztuka...

MIASTO SPOGLĄDA NA WEZUWIUSZA

Zostawiamy za sobą uliczki i wychodzimy na otwartą przestrzeń, gdzie w końcu można odechnąć pełną piersią. Blisko nabrzeża Neapol zmienia się nie do poznania. Trudno uwierzyć, że to nadal to samo miasto. Na reprezentacyjnej Via Toledo kwitnie handel, a pobliska galeria handlowa imienia Króla Humberta I tętni życiem, na równi ze swoją słynniejszą siostrą z Mediolanu, Galerią Wiktora Emmanuela. Kamienice robią się dostojne, a hotele, takie jak „Albergo Vesuvio” (to w nim nocował Bourvil w znanej komedii z Louisem de Funès „Gamoń”), mają najpiękniejsze widoki na zatokę i cumujące tam jachty.

Neapol, mimo wojny, zachował zabytki swojej bogatej przeszłości, choćby średnio-wieczne zamki. Szczególnej uwagi wart jest San Elmo, który znajduje się na strategicznym wzniesieniu górującym ponad miastem. Dopiero z tej perspektywy docenić można płataninę Centro Storico. Główna ulica dzieli miasto niczym bruzda, rozdzielając je na dwie części. W tle czuwa nieodległy Wezuwiusz – piękny i nadal groźny, a kojarzący się niepokojąco z erupcją, która wieki temu zmiotła starożytne Pompeje.

ARRIVEDERCI NAPOLI!

Pocziwy Eugenio nie miał racji, kiedy podzielił nam Neapol na miejsca przyjazne i te mniej bezpieczne. Prawdziwa linia podziału przebiega tu wcale nie w przestrzeni, ale w czasie...



Kiedy popołudniami lub pod wieczór wchodziliśmy w objęcia Centro Storico – te same miejsca, które wywoływały w nas „radość o poranku”, u schyłku dnia wzbudzały zgoła odmienne odczucia. Uliczki, gdzie jeszcze kilka godzin wcześniej podziwialiśmy sympatyczną grę cieni, teraz wyraźnie przestrzegały przed samotnymi spacerami. Nawet oblicza mijanych ludzi przybierały jakiś surowy wyraz, sprawiając, że zniknął gdzieś, obecny tu wcześniej, nastrój pogodnej afirmacji życia. Ruch uliczny przybierał na sile oraz gwałtowności.

Kiedy opuszczaliśmy Neapol, przeważały jednak wspomnienia najmiłsze. Zatoka i widoki, Via Toledo, zabytki, Wezuwiusz... I przekonanie, że kiedy znów się tu pojawimy, powita nas ta sama, niepowtarzalna gra słońca i cieni, tworząca magiczny klimat tego miasta. ○

CIĘCIE

Główna ulica Centro Storico niczym szczelina rozdziera miasto, wiodąc prosto do biznesowej części Neapolu.



Dzieci są zakałą ludzkości – te słowa mistrza Słonimskiego nigdy nie były tak prawdziwe, jak w czasie urlopu.



KILKA SŁÓW O PRZETRWANIU

Idea urlopu, jakichkolwiek wakacji, narodziła się, kiedy wyliczono, iż taniej wyjdzie, jeśli pozwoli się wykwalifikowanej sile roboczej odpocząć (i potem eksploatować ją dłużej), niż ją wykończyć szesnastogodzinnym dniem pracy. W tym drugim bowiem wypadku i tak trzeba po kilku latach siłę roboczą przyuczać, co ani proste, ani tanie nie jest. A jak już się urlopuje sztygara, to i reszta kopaczy węgla fajrantu, niestety, żąda. No i się doigrała.

„Nie, ja nie założę tych zielonych kąpielówek! Miesiąc temu mi się podobały, ale są wieśniackie! A poza tym mnie obcierają!” „Lody, mówiłeś, że będą lody!!! Buuu... Nie mówiłeś nic, że po obiedzie!” „Ale ja chcę ten hałasujący pistolet za dwieście złotych! Masz pieniądze, sam widziałem!” „Wszyscy jadą na Martynikę, tylko my, jak biedota, znowu do Włoch!” „Nie będę z tą idiotką spała w jednym pokoju! To nie jest żadna sio-

stra, krowa jedna!” „Mamo, on śmierdzi!” „Nudzę się...”

Podobno są ludzie, którzy przetrwali dwa tygodnie wakacji z dziećmi, nie mordując ani jednego. Nie wiem, może nie mieli noża pod ręką, albo nie wyjmowali zatyczek z uszu przez czternaście dni, ale przetrwali. Zapewne duży wpływ na tę godną najwyższego podziwu wstrzeźliwość ma nieroztropne prawo karne, które za zamordo-

wanie bachora karze jak za człowieka. W każdym razie są tacy, którzy wakacje z dziećmi przeżyli, a dziś lekarze pokazują ich studentom medycyny na najpilniej strzeżonych oddziałach psychiatrycznych.

Dlatego zebrawszy wywiad środowiskowy, postanowiłem przygotować krótki przewodnik – ot, garść kilku rad – o tym, jak pojechać na wakacje z dziećmi i nie tylko przeżyć, ale i nie zwariować. Skuteczności oczywiście zagwaranto-

bowiem mogą okazać się uzbrojone w nowocześniejsze komórki, ajfony, ajpady i wszelkie inne aje, o których ani my, ani tym bardziej nasza karta kredytowa nawet słyszeć nie chce. „Ja chcę takie samo” powtarzane 60 razy na minutę może wyprowadzić z równowagi nawet kandydata na ołtarze, a co dopiero nas – kandydatów do domu wariatów.

Izolować te małe skubańce trzeba również przed wszelkimi sklepami, restauracjami, wesołymi miasteczkami – słowem przed

cywilizacją. Kiedy bowiem ta banda Hunów wpadnie do takiego przybytku świętej komercji, nie pomogą nam tłumaczenia, że w zasadzie ich nie znamy i nie wiemy, czemu mówią do nas „mamo” i „tato”, aczkolwiek doskonale wiemy, czemu wrzeszczą „ja chcę!”.

Myliłby się jednak ten, kto pomyślałby, że na urlop z dziećmi najlepsze jest zrzuć towarzystwa w sam środek Puszczy Białowieskiej. Co prawda spowodowałoby to, że najdalej po trzech dniach uciekliby stamtąd kłusownicy, po pięciu – łosie i żubry, a po dziesięciu – ostatni partyzanci wysadzający wciąż pociągi jadące

na front wschodni oraz Adam Wajrak. Kusząca ta wizja niestety zrealizowana być nie może, albowiem miastowe dzieci, jeszcze lepiej niż psy, łapią wszelkie tyfusy, kleszcze i leszcze, co może być przyczyną wielu groźnych chorób oraz wizyty w ośrodku zdrowia w Hajnówce, czego jeszcze nie przeżył nikt.

Progeniturę trzeba czymś zająć, a najlepiej przy tym ją zmęczyć, bo wtedy unikniemy kłopotów z usypianiem.

Niestety, pomysł z rąbaniem drewna do kominka, choć początkowo wydawał się kuszący – odpada. Po prostu w salonie słabo wyglądają najładniejsze nawet szczapy, jeśli zaplamione są krwią. No i te same niedogodności, co w wariacie białowieskim – ośrodek zdrowia, Hajnówka, te klimaty... Z powodu postępów w mechanizacji rolnictwa nie możemy też zapędzić dzieciarni do pomocy przy żniwach czy innych sianokosach, a propozycja, by zajęły się ryśkowaniem prac na temat „Moje ulubione wakacje”, może zostać gwałtownie oprotestowana.

Pomysłem samograjem jest pławienie dzieciarni. Woda nie może być jednak zbyt głęboka, najlepszy byłby więc Balaton, gdzie po przejściu pięćset metrów zgłodnieliśmy, zmęcziliśmy się i wciąż mamy suche kolana. Niestety, nad węgierskim jeziorem trudno o miesca dzięki i choć knajpki w niczym nie przypominają koszmara rodem z Łeby, to jednak nie spełniają naszego wymogu izolowania się od cywilizacji.

Tu w grę wchodziłaby Finlandia, gdzie jezior w bród, a w dodatku łatwiej o łosia niż o Fina, niestety wysokie ceny napojów rozweselających (w końcu my też musimy mieć coś z wakacji), skutecznie od pomysłu wyprawy na północ odstrasza. W końcu nie każdy ma ochotę wozić ze sobą na urlop bimbrownicę. Aha, w dodatku w Finlandii zapowiadają deszcz do połowy czerwca 2018. Zasadniczo, jakimś rozwiązaniem byłyby stawy rybne, gdzie kąpiących się jest niewiele, a i zwykle położone są na uboczu. Jeśli więc uda nam się przekupić ochroniarzy, możemy spróbować kąpać nasze pociechy z karpami. Miejmy nadzieję, że to im nie zaszkodzi. W sensie karpom.

A dzieci? No cóż, o dzieci to niech się ostatecznie każdy martwi we własnym zakresie. Ja pewnie znowu zapakuję swoje w samochód i zawlekę na jakiś koniec świata, na ten przykład Polesie albo i inne Podlasie. Z nadzieją, że te piękne krainy to przetrwają, którego to przetrwania Państwu i sobie życzę. ○



wać nie mogę, ale z pewnością warto spróbować.

Otóż, bachory, jak osobniki zakażone dżumą jakąś, trzeba izolować. Nie tak zupełnie, bo najlepiej trzymać je w małych stadkach – po kilka spokrewnionych sztuk. Wtedy zajmą się sobą, a wzajemne bijatki zajmą im większość czasu, więc odejdzie problem narzekania na nudę. Stadko izolować trzeba jednak od innych stadek, tamte



Można tu znaleźć krajobraz Kaszub, bo to w istocie, geograficznie i historycznie, Kaszuby. Jednak Kaszubów mieszka tu niewielu, a i ci w zdecydowanej większości nie są rdzennymi mieszkańcami tych okolic. Nawet wśród mieszkańców Trójmiasta są one mniej znane niż Kartuzy i Kościerzyna, choć położone tuż za gdańską obwodnicą.

Marek H. Kotlarz

Wznieść się na Gdańskie Wyżyny



FOT. MAREK H. KOTLARZ



Przynależność etniczna Gdańskich Wyżyn jest równie skomplikowana, jak ich historia. Niektórzy twierdzą, że stanowią one południowe rubieże Kaszub – inni, że północne rubieże Kociewia. Jednak dziś równie trudno tu spotkać zarówno Kaszubów, jak i Kociewiaków.

ŻYCIE NA POGRANICZU

Okolice miejscowości Kolbudy, Przywidz i Trąbki Wielkie decyzją Traktatu Wersalskiego, jako część dawnego pruskiego powiatu Gdańskie Wyżyny, zostały włączone w 1920 roku do obszaru Wolnego Miasta Gdańska. Najprościej byłoby uznać, że właśnie to wydarzenie zaważyło na zerwaniu więzi regionu z historycznym dziedzictwem Kaszub, ale sprawa nie jest taka prosta. Proces odrywania się jego rdzennych mieszkańców od polskości zaczął się już w XIV wieku, gdy Pomorze Wschodnie dostało się pod panowanie Krzyżaków. Wówczas rozpoczął się napływ niemieckich osadników, a jednocześnie przejmowanie przez część dotychczasowych mieszkańców ich zwyczajów i języka. Proces ten pogłębiać się zaczął, gdy w Gdańsku i jego najbliższym sąsiedztwie szerzyły się nauki Marcina Lutra. Czas rozbiorów dokonał reszty.

Według pruskich szacunków, na początku XX wieku nie więcej niż kilka procent tutejszych mieszkańców deklarowało język polski lub kaszubski jako ojczysty. Przypuszczać należy, że dane te nieco zaniżono. Andrzej Drzymcowski, historyk i badacz regionu, oceniał, że na terenach Gdańskich Wyżyn ludność polska w 1923 roku stanowiła w niektórych miejscach nawet do trzydziestu procent.

Bez względu na statystyki, niewątpliwym jest fakt, że na tych terenach, tak bliskich Gdańskowi, doszło do typowego dla rejonów pogranicza wymieszania wiary i kultur. Region nabrał swego kolorytu, co nauczyło mieszkańców tolerancji i szacunku dla odmiennych obyczajów. Dziś świadectwem tej przeszłości jest fakt, że w tutejszych wsiach znajdują się dwa kościoły, z których jeden służył kiedyś luteranom, a drugi katolikom.



ZŁOTE CZASY MAŁEGO SOPOTU

W latach międzywojennych Gdańskie Wyżyny – jedyna część Kaszub dostępna obywatelom Wolnego Miasta Gdańska bez przekraczania granicy – przeżywały swój kulturalny i turystyczny rozkwit. Gdańsk miał nadmorskie kąpieliska w Brzeźnie, Jelitkowie i w pobliskim Sopocie, ale jego mieszkańcy szukali odmiany właśnie nad jeziorami, w okolicach Kolbud i Przywidza. O popularności Przywidza jako letniego miejsca wypoczynku gdańszczan świadczy, że w okresie międzywojennym zyskał on miano „Małego Sopotu” czy „Luftkurortu”.

Przyznać trzeba, że nawet na tle niezwykle urokliwych Kaszub ta okolica zachwyca pejzażami. Natura, jakby świadoma politycznej

izolacji tego miejsca od Polski, na niewielkiej przestrzeni stworzyła coś na kształt soczewki kaszubskiego krajobrazu. Zachwycają niezliczone wzgórza, malownicze doliny, lasy pocięte głębokimi jarami, na dnie których wiosną i jesienią strumienie zbierają wodę, zasilając nią liczne jeziora i stawy.

Najłatwiej dotrzeć tu samochodem. Przed wojną głównym środkiem transportu była kolej. Już w 1886 roku otwarto linię wiodącą z Pruszcza Gdańskiego do Kartuz. Ze stacji w Kolbudach do „Małego Sopotu” dotrzeć



JEZIORO MARYI

Mariensee – taką nazwę nosiło do 1945 roku Jezioro Przywidzkie i sam Przywidz. Nazwał je tak w XIV wieku ku czci patronki zakonu wielki mistrz krzyżacki Henryk von Dusemer.

trzeba było wynająć bryczkę. Piętnastokilometrowa podróż, wijącą się wśród lasów i wzgórz drogą, stanowiła wspaniałą atrakcję. W okresie międzywojennym, gdy nabierał tempa rozwój motoryzacji, między Gdańskiem a Przywidzem kursowało jedenaście au-

a jednocześnie uczestniczyć w życiu gdańskiej elity. Nie tylko wytnienia, lecz także zdrowia szukano w tym zakątku – ceniono sobie szczególnie mikroklimat, mający zbawienny wpływ dla osób cierpiących na choroby dróg oddechowych. W pobliskim Bielkowie, w tzw.

Pałacyku na Wyspie, mieściło się nawet prewentorium przeciwgruźlicze, zaś w Kolbudach powstał ekskluzywny pensjonat dla niemieckich oficerów.

KONIEC IDYLLI

Huk wystrzałów nad Westerplatte zakończył idyllę i rozpoczął mroczną historię tych okolic. Już 10 września 1939 roku w Granicznej Wsi założono Zivilgefangenenlager Grenzdorf, obóz dla jeńców cywilnych. W bardzo ciężkich warunkach przetrzymywano i zmuszano do pracy w kamieniołomach i żwirowni Polaków z Gdańska i okolic. To w nim rozstrzelano między innymi zasłużonego dla polskości gdańskiego działacza polonijnego, harcmistrza Alfa Liczmańskiego i wyniesionego przez Jana Pawła II do grona błogosławionych ks. Mariana Góreckiego, prefekta Gimnazjum Polskiego Macierzy Szkolnej w Gdańsku. Łącznie dokonano tu egzekucji ponad dwustu osób, w tym czterdziestu Żydów.

Wielu mieszkańców, czujących się Niemcami jeszcze przed wybuchem wojny, wsparło idee narodowego socjalizmu. Już w latach trzydziestych w regionie, w którym od stuleci w symbiozie współżyli ze sobą niemiecko- i polskojęzyczni mieszkańcy, zaczęło dochodzić do konfliktów i prześladowań ludności polskiej. Na tym tle szczególnie szlachetną postawą wykazał się katolicki proboszcz parafii Mierzeszyn-Przywidz, Jan Aeltermann, który, chociaż był Niemcem, w latach nasilającego się nazizmu przeciwstawiał się prześladowaniom Polaków. Zapłacił za to cenę najwyższą – aresztowano go w pierwszym dniu wojny, a dwa miesiące później rozstrzelano.



BIŁA ENERGIA

Elektrownia wodna w Straszynie jest jednym z kilkunastu działających zabytków techniki rozmieszczonych na rzece Radunia.

tobusów. Kurort witał śmietankę towarzyską Gdańska nie tylko gościnnymi pensjonatami i kawiarniami, ale i sklepami oferującymi wyszukane zagraniczne towary: francuskie perfumy, chiński jedwab i angielskie materiały, nie wspominając o egzotycznych owocach i przyprawach. Przy drodze znajdował się też zajazd dla koni, parking dla samochodów, a nawet stacja benzynowa.

Miejsowość stała się na tyle znana, że przybywali tu nie tylko gdańszczanie, ale i wczasowicze z głębi Polski, w tym młodzież, dla której otwarto nad brzegiem jeziora specjalne schroniska. Można tu było wypocząć i nabrać sił, rozkoszując się nieskażoną naturą,

KRWAWE WYZWOLENIE

Wkroczenie na Pomorze Armii Czerwonej w początkach 1945 roku rozpoczęło kolejny tragiczny epizod Gdańskich Wyzyn – rozpoczęły się prześladowania i wysiedlanie ludności. Nieliczni już dzisiaj mieszkańcy pamiętający te czasy wspominają zachowanie nowych najeźdźców. Klara Kohnke, mieszkanka Mierzeszyna, tak opisuje ówczesne wydarzenia: „Mężczyźni i młodzież zostali przez Rosjan wysłani na Ural. Starsi mogli zostać, a my nasz dom musieliśmy opuścić. Udaliśmy się do naszych sąsiadów, rodziny Schonwald i tam zaczął się prawdziwy koszmar. Rosjanie gwałcili wszystkie kobiety, nawet w obecności ich mężów, nie patrząc na wiek. Mieliśmy przybraną dwudziestoletnią córkę. Po trzech dniach poniżania odebrała sobie życie, wieszając się. Rodzina Muellerów – sąsiad, jego żona oraz dwoje dzieci w wieku 15 i 16 lat – też się powiesili. Paul Zube został przez Rosjan zabity w ogrodzie. Zabity został także Fritz Kronke z synem. Jego żona leżała zamordowana w stodole, przywiązana do drabiny”. Tak na początku 1945 roku dokonało się ostateczne zerwanie dziejów Gdańskich Wyzyn z przeszłością.

Skarb Państwa przejął tutejsze ziemie, na terenach dawnych folwarków utworzono PGR-y, a opuszczone siedliska przejmować zaczęli przybysze z innych regionów Polski, również ci zza Bugu. Chociaż okolica nie uległa zniszczeniu w trakcie działań wojennych, lata socjalistycznej gospodarki doprowadzi-



FOT. MAREK H. KOTLARZ

ły do ruiny wiele uroczych wsi, folwarków i chłopskich gospodarstw. Tylko nieliczne zachowane w niezmienionym stanie domy lub wysadzone starymi dębami aleje, niegdyś prowadzące do folwarcznych zabudowań, przypominają o dawnej świetności. Znaczna ich część uległa jednak dewastacji bądź całkowitemu zniszczeniu, a krajobraz zeszpeciły pegeerowskie bloki mieszkalne.

KATOLICY I LUTERANIE

W Mierzeszynie o współistnieniu dwóch narodów i religii przypominają dwie świątynie: widoczna na zdjęciu, poewangelicka z początków XX w. i katolicki kościół powstały w XIV wieku.



FOT. MAREK H. KOTLARZ

ŚWIĄTEK PO KASZUBSKU

Niejeden ludowy twórca znalazł tu natchnienie.

POWRÓT NA WYŻYNY

Na szczęście, ostatnie lata przyczyniły się do ożywienia gospodarczego i turystycznego tych okolic. Można tu korzystać z darów natury, jakie obficie rodzą lasy, łąki i jeziora – grzybiarze i wędkarze znajdą tu prawdziwy raj. Coraz liczniejsze pensjonaty i hotele oferują nie tylko nocleg, ale i wyśmienite, tradycyjne jadło.

Można podziwiać liczne zabytki bądź szukać pamiątek z nie tak odległych, burzliwych dziejów tych ziem. Zachwycają okoliczne świątynie, jak powstały na początku XIV wieku kościół w Pręgowie czy kościół z 1349 roku, wzniesiony przez Krzyżaków w Lubiewie, rozbudowany w stylu barokowym. W Mierzeszynie podziwiać

wojennych elektrowni wodnych na rzece Raduni – wszystkie obiekty nadal spełniają swe funkcje, a co najważniejsze – są udostępnione zwiedzającym. Między Łapinem a Pruszczem Gdańskim siedem siłowni z malowniczymi jazami wytwarza prąd. Nadal pracują w nich stuletnie turbiny i generatory wyprodukowane w zakładach Schichau, Maschinen Fabrik Eisslingen, Voith, Escher-Wyss czy Siemens. Każda z tych elektrowni przypomina budowlę wzniesioną z kolorowych klocków. Znajdą też coś dla siebie miłośnicy zimowych rozrywek – w Przywidzu i Trzepowie coraz większą popularnością cieszą się zadbane stoki narciarskie, wyposażone w wyciągi.

CAŁY TEN JAZ

Jaz na Kanale Raduni w Kolbudach jest częścią całego systemu kaskady regulującej rzekę.



można dwa uroczne kościoły – pierwszy powstały w XIV wieku, drugi wzniesiony w 1901 roku przez ewangelików. W Czapielsku znajduje się barokowy kościół o bardzo interesującej, nietypowej, szachulcowej konstrukcji. Nie tak reprezentacyjny, ale ciekawy, bo wybudowany jak rodzaj domu, jest kościół w Jodłównie z 1936 roku.

Dla miłośników techniki i zielonej energii unikalny będzie szlak wiodący wzdłuż przed-

Jeśli szukającym wrażeń przybyšzom z gębi Polski zamarzy się coś więcej, w zasięgu ręki mają liczne atrakcje: pobliskie Kaszuby (Kościierzyna, Wieżycza, Szymbark, Kartuzy), krzyżackie zamki w Malborku czy Gniewie, a przede wszystkim Gdańsk, Sopot i Gdynię. Jednak największym skarbem Gdańskich Wyżyn pozostaje przyroda. ○

Wakacyjna beztroska tuż-tuż



TUNEZJA

Tak blisko. Tak wielobarwna. Tak czarująca.

Słoneczne plaże, pięknie położone ośrodki turystyczne, starożytne zabytki, niepowtarzalna mieszanka europejskich i arabskich kultur, Morze Śródziemne, miejsce, w którym zaczyna się Afryka i Sahara, berberyjskie wioski i nowoczesne hotele, to wszystko kryje się za jednym słowem – Tunezja.

To kraj wielobarwny i różnorodny. Każdy może poczuć się tutaj jak u siebie i wybrać swój własny sposób spędzania wakacji.



A wszystko to zupełnie niedaleko.
Powitamy Was uśmiechem
i szczerą gościnnością.
Zapraszamy.

www.tunezja.org.pl
facebook.com/ZapraszamyDoTunezji





NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Wielka Brytania Stratford-upon-Avon

Stratford-upon-Avon to położone malowniczo nad brzegiem rzeki Avon miasto, w którym urodził się William Szekspir. Miasteczko jest jedną z najważniejszych atrakcji turystycznych Wielkiej Brytanii. Poza urokliwą architekturą turystów przyciągają głównie teatry „Royal Shakespeare Theatre”, „Swan” i „The Other Place”. W mieście znajduje się również kilka budynków związanych z życiem Szekspira – ten, w którym urodził się dramatopisarz, ten w którym zmarł, posiadłość jego żony, dom rodzinny matki poety oraz kościół św. Trójcy – miejsce chrztu i pochówku Szekspira.



52°11' N 1°42' W

Miasto leży 38 km na południowy wschód od Birmingham.



FOT. SHUTTERSTOCK



NIE TYLKO CZESKI FILM



FOT. SHUTTERSTOCK

Czechy Karlowe Wary

Karlove Wary to największe uzdrowisko czeskie. Założył je w XIV wieku król Karol IV. Leżące na zachodzie Czech miasto zna cały świat. Znajduje się tu 79 źródeł, z których najsłynniejszym jest Vřídlo. Bije ono z głębokości 2 tysięcy metrów, a woda tryska na wysokość 12 metrów. Warto jej skosztować, podobnie jak słynnej Becherovki i gorących, orzechowych wafli uzdrowiskowych. Oprócz tradycyjnych pobytów leczniczych, uzdrowisko oferuje programy wellness i fitness.

Od roku 1946 w Karlowych Warach odbywa się Międzynarodowy Festiwal Filmowy, najsłynniejszy w środkowej i wschodniej Europie. W tym roku (29 czerwca – 7 lipca) odbędzie się on po raz 47. Corocznie na czeskim festiwalu prezentowanych jest ponad 200 nowych filmów z całego świata.



50°13'N 12°52'E

Karlove Wary leżą 128 km na zachód od Pragi



Polsko-czeskie skarby

 50°49' N 16°03' E
50 km na południe
od Legnicy, tuż przy
granicy z Czechami

Ziemia Kamiennogórska w Sudetach Środkowych na pograniczu polsko-czeskim to blisko 400 km² kotlin poprzecinanych gęstą siecią rzek i strumieni, malowniczych pasm górskich, skałek, łąk i lasów. Powiat obfituje w zabytki kultury. Największą atrakcją jest pocysterski zespół klasztorny w Krzeszowie. Na miłośników historii czekają również: zespół drewnianych Domków Tkaczy Śląskich „Dwunastu Apostołów” w Chełmsku Śląskim, zabytki średniowiecznego sądownictwa, arcydzieła architektury świeckiej i sakralnej. Najnowszą atrakcją jest podziemna trasa turystyczna ARADO w Kamiennej Górze, z unikalną w skali Europy kolekcją eksponatów – częściami poci-

sku V-1 i rakiety V-2, a nawet niemieckiej enigmy. Na aktywnych czeka też 300 km szlaków rowerowych, 400 km szlaków pieszych i ponad 120 km szlaków konnych. W regionie można uprawiać windsurfing, paragliding, wędkarstwo, narciarstwo zjazdowe i biegowe.

Więcej można przeczytać w najnowszym przewodniku wydanym przez powiat kamiennogórski w partnerstwie z czeskim miastem Zacleř w ramach projektu „Szlakiem polsko-czeskich atrakcji turystycznych”. Przewodnik został wydany w 4 wersjach językowych: polskiej, czeskiej, angielskiej i niemieckiej.

Projekt jest współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Rozwoju Regionalnego oraz środków budżetu państwa za pośrednictwem Euroregionu Nysa.



Kocia sztuka

Holandia Amsterdam



Kattenkabinet to muzeum w Amsterdamie poświęcone dziełom przedstawiającym koty. Kolekcja obejmuje obrazy, rysunki, rzeźby i inne dzieła takich twórców jak: Pablo Picasso, Rembrandt, Henri de Toulouse-Lautrec, Corneille, Sal Meijer Theophile Steinlen i Joze Ciuha. Na pierwszym piętrze budynku mieszka właściciel muzeum z rodziną i wieloma kotami.

 52°22' N 4°54' E
Muzeum mieści się przy
Herengracht Canalside 497

Wakacje z duchami



FOT. SHUTTERSTOCK



49°26' N 20°18' E

Ok. 30 km od Nowego Targu.

Pieniny Spiskie w południowej Polsce słyną z bogatej oferty wspinaczki skałkowej, spływów kajakowych i aż 35 szlaków udostępnionych turystom w ramach obszaru Pienińskiego Parku Narodowego. Kogo jednak zmęczą sportowe trudy, może w ramach odpoczynku odbyć swoistą podróż w czasie i zwiedzić okoliczne zamki. Największym i najatrakcyjniejszym historycznie jest ten w Niedzicy, zwany również Dunajcem. Wzniesiony na początku XIV wieku, do roku 1945 był siedzibą znamienitych węgierskich rodów magnackich. Położony na stromej skale o wysokości 566 m n.p.m. sąsiaduje z głównym nurtem rzeki Dunajec. W środku zwiedzić można komnaty z ekspozycją ukazującą historię zamku oraz wyposażenie typowe dla siedziby szlacheckiej. Niżej znajduje się część

więzienna, w której podobno przetrzymywany był Janosik i gdzie do tej pory znajdują się dyby. Z dwóch tarasów widokowych podziwiać można całą okolicę: Pieniny, zaporę zbudowaną w latach 1980., zamek w Czorsztynie, a nawet Tatry. Zamek w Niedzicy ma historię bardzo bogatą w legendy. Kto oglądał serial dla młodzieży „Wakacje z duchami”, zna legendę o burzliwym małżeństwie tragicznie zmarłej Brunhildy i Bogusława. On, nękany przez wyrzuty sumienia, powtarzał „przebac mi Brunhildo”. Ona przebaczyła, ale zabrała mu w zamian wszystkie włosy. To z tej historii wynika przesąd, że każdy mężczyzna, który wymówi imię ukochanej nad tamtejszą studnią, a ma coś na sumieniu, obudzi się następnego dnia łysy.



Kielecka kapsuła czasu, czyli pałac dla zakręconych kulturą!

Od XVII wieku Pałac Biskupów Krakowskich w Kielcach, zachwyca swą architekturą, bogactwem wnętrza, a także malowniczym położeniem. Wzbudza podziw turystów i daje powody do dumy mieszkańcom miasta. To właśnie tutaj, w murach pamiętających czasy Wazów, od lat 70. XX wieku mieści się siedziba główna Muzeum Narodowego w Kielcach.

Nieźmiennie od prawie 400 lat!

Pałac jest perłą w koronie wczesnego baroku, a blasku nie odebrały mu zawieruchy wojenne, ani kolejni rezydenci. Nigdy nie został zburzony lub poważnie uszkodzony. Czas także obszedł się łaskawie z wnętrzami pałacowymi. Zwiedzający mogą podziwiać wspaniałe komnaty biskupie, senatorskie i ekonomiczne z oryginalnymi meblami, portalami, kominkami, posadzkami i przepięknymi stropami.

Wędrówka po przeszłości z myślą o przyszłości

Dzięki bogatym zbiorom sztuki dawnej i współczesnej, niepowtarzalnej kolekcji broni, rzemiosła artystycznego, dokumentów i numizmatów, stworzono wystawy stałe, które cieszą się nieźmiennie dużą popularnością wśród zwiedzających. Warte polecenia są zajęcia edukacyjne dla grup dzieci i młodzieży. Zajęcia ułożono w cykle tematyczne, obejmujące: historię sztuki, plastykę, wiedzę o kulturze. Są one prowadzone także w języku angielskim.

Poznaj niezwykle pałac!

Będąc w pobliżu Kielc, warto wziąć zakręt na kulturę, zwłaszcza latem! Chociażby po to, aby pospacerować po odtworzonym barokowym ogrodzie włoskim. Także różnorodność imprez, zajęć i koncertów gwarantuje intensywność przeżyć. W niezwykle Pałacu Biskupów Krakowskich, każdy znajdzie coś dla siebie!

www.mnki.pl
blog.mnki.pl
facebook.com/mnkipl



Jakub Kowalski

MURUGALUBI



FOT. JAKUB KOWALSKI

Podczas pobytu na Mauritiusie można leżeć plackiem na białej plaży i kąpać się w błękitnej wodzie. Można też podziwiać barwne korowody Tamilów, którzy witają zbliżający się nowy rok, i świętować razem z nimi.



RÓŻOWY



FOT. JAKUB KOWALSKI

GWAR PRZED BURZĄ

Kawadia jest atrakcją dla mieszkańców wioski i okolic. Ludzie gromadzą się na wiele godzin przed procesją.

Kawadia celebrowana jest tam, gdzie żyją Tamilowie – w Indiach, Sri Lance, Singapurze, Indonezji, Malezji i właśnie na Mauritiusie. Świętowanie odbywa się raz w roku, w miesiącu Thai (odpowiednik lutego), po pełni księżyca, i poświęcone jest bóstwu Murudze. Zwiastuje nadchodzący tamilski nowy rok.

KOROWÓD MĘCZENNIKÓW

Muruga jest w hinduizmie ważną postacią, jako syn Sziwy i młodszy brat Ganeszy. Wedle różnych źródeł jest bogiem wojny, zwycięstwa, młodości i piękności zarazem. Ale prawda jest

jedna i zaskakująca – Muruga, który ma sześć głów, jest wszystkim po trochu. Godząc się z tym, lepiej pojmijemy jego sentencję: „Wyreknijcie się wszystkiego, aby mieć wszystko”.

Stary kapłan z różową kropką na czole – mimo nerwowej krzątaniny w świątyni, w końcu dzisiaj wielkie święto – znajduje czas, aby cierpliwie tłumaczyć nam, niewiele rozumiejącym innowiercom, wszystko jak należy. I to płynną angielszczyzną. Wcześniej pytał Murugę o zgodę, czy w ogóle może z nami rozmawiać. Bóg pozwolił, i mogliśmy wejść. W środku trwa jeszcze próba zespołu muzycznego, słychać głos kobiecy i jednostrunowe harfy. Pomocnicy kapłana zamiatają podłogę



FOT. JAKUB KOVALESKI

GRA MUZYKA

Odgłosy rytmicznych uderzeń w bębny i drewniane pałki wprawiają męczenników w trans.

gę, układają dywany, zapalają świece i kadzidła. Przed wejściem stoi mnóstwo gapiów. Jest i policja. Wszyscy czekają na procesję.

Trasa, którą zmierzają korowód, nie jest długa. Raptem kilka kilometrów wokół okolicznych wiosek. Rytuał ma wypędzić złe duchy i pozwolić ludziom oczyścić się przed nadchodzącym nowym rokiem – dlatego m.in. pochód wiedzie w pobliżu rzeki. Co prawda procesję poprzedza cysterna lejąca wodę na drogę, ale to już z bardziej prozaicznych względów, słońce stoi bowiem w zenicie i rozgrzany asfalt parzy bosc stopy. Więc idą. Bębniarze, tancerki, starsze kobiety w sari, mężczyźni rozebrani do pasa, czereda dzieci. Całość skąpana w kolorach rozmaitych, choć dominuje jeden – różowy. To ulubiony kolor Murugi. Różowe są koszulki, spodnie, chusty, przepaski i koraliki. A nawet pomalowane dłonie i stopy są różowe.

Idą i oni. Męczennicy. W języki, twarze oraz inne części ciała wbite mają dziesiątki metalowych igieł. Na igłach zawieszane są limonki oraz inne ozdoby „ku czci”. Na głowach

niosą drewniane łuki, czyli ołtarze, udekorowane posążkami, rzeźbami i plakatami Murugi – one także toną w kwiatach, obecnych tu wszędzie. Taka konstrukcja nazywa się kawadia, stąd i nazwa święta. Kawadie ważą ponad 20 kilogramów, więc marsz z nimi to nie lada sztuka. Od czego są jednak rodziny

POMOCNA DŁOŃ

Rodziny męczenników poprawiają kawadie na głowach i podtrzymują omdlałe ramiona.



FOT. JAKUB KOVALESKI



SKŁUTE CIAŁO

Uczestnicy nakłuwają język, twarz, ramiona, klatkę piersiową, brzuch i plecy.

i przyjaciele, którzy idą tuż obok męczenników: czasem podeprą omdlewające ręce, czasem otrą pot z czoła, spływający do oczu.

Bębny wybijają rytm coraz szybciej i szybciej, a męczennicy mimo zmęczenia i dzwiganego ciężaru – tańczą. Powoli wpadają w trans. Przysmykają oczy, których wywrócone białka zapadają się gdzieś w czeluście oczodołów. Zdarza się, że tracą równowagę i wtedy przydają się gapie, którzy łapią drewniane konstrukcje i stawiają je do pionu. Przed świątynią niektórzy śmiałkowicie zakładają jeszcze buty z gwoździ i tak – człapiąc krok po kroku – dochodzą do celu, w religijnym uniesieniu nie czując wcale bólu. Co więcej – krwawym, wydawać by się mogło, obrzędowi w ogóle nie towarzyszy krew! Korowód dochodzi do świątyni, gdzie rozpoczyna się krótkie nabożeństwo.

Po nim rozdawane są banany, kamfora, mleko. Wszyscy powoli rozchodzą się do domów.

U TAMILÓW PRZY STOLE

Na Mauritiusie dominują Hindusi (w tym Tamilowie) oraz ich wierzenia. Biali stanowią ledwie kilka procent mieszkańców, jednak to oni trzymają w garści finanse. – *W naszym hotelu* – tłumaczy Nirad, boy hotelowy – *główni szefowie to Francuzi*. Sam hotel nam się podoba. Nawet chętnie wspomnielibyśmy jego nazwę, o pochwalę obsługi nie mówiąc, jednak Nirad prosi o dyskrecję. Nie powinniśmy afiszować się z naszą znajomością, bo hotelowej obsłudze zabrania się spoufalania z gośćmi.

Kawadia to na Mauritiusie święto narodowe, co oznacza też dzień wolny od pracy,

więc Nirad – mimo hotelowego regulaminu – zaprasza nas do domu na uroczysty obiad. Uczestnicy pielgrzymki mają obowiązek nie jeść mięsa przez 10 dni oraz chodzić na wieczorne modły do świątyni – także w ramach oczyszczenia. Ale teraz czeka ich suty posiłek (oczywiście również wegetariański). W domowym zaciszu, gdzie ubogo, ale swojsko, można świętować do woli. Takie obiady to ważne wydarzenia, bo celebrują trud i poświęcenie uczestników procesji. Tym razem w korowodzie szedł Nirad i jego dwaj bracia, a zaproszenie na uroczystość dostali krewni, przyjaciele, sąsiedzi. I my. Razem – kilkadziesiąt osób.

Na razie czekamy w sieni pod dachem z blachy falistej, bo oceaniczny klimat wyspy lubi przygnać deszczowe chmury i właśnie teraz trwa ulewa, która wcześniej wisiała nad całą Kawadią. Ciotki Nirada z mozołem mie-

szają ryż w wielkich garach nad paleniskiem. – *Ale jesteśmy prymitywne, co?* – żartują.

Matka Nirada – wyraźnie dumna i wzruszona – wita synów na skraju domu, okalając ich głowy małym płomieniem z kaganka i częstując ryżem. Potem wszyscy trzej zamykają się w pokoju, gdzie modlą się i oglądają kawałki procesji nagrane na telefony komórkowe, żywo ją komentując. Obiad nie rozpocznie się, dopóki oni nie wezmą pierwszego kęsa do ust. Potem do stołu zasiadają goście. W dwóch



FOT. JAKUB KOVALEWSKI

NAJTRUDNIEJSZY PIERWSZY KROK

Najodważniejsi zakładają buty z gwoździ, a niektórzy nawet w nich tańczą.



FOT. JAKUB KOVALEWSKI

DUMA I POŚWIĘCENIE

Męczennicy traktowani są przez społeczność jak bohaterowie.



FOT. JAKUB KOVALEWSKI

COŚ DLA CIAŁA

Po procesji, w której umęczenie ciała służyło duszy, czas na tradycyjny obiad dla rodziny, sąsiadów i przyjaciół domu.

turach, bo nie starczy miejsca dla wszystkich. Na blacie ląduje papierowa tacka, a na niej wegetariańskie specjały. W menu jest pieczona dynia, marynowane banany, gotowana fasola. I nieodłączny ryż. Na deser – kokosowa breja z migdałami. Wszystko jemy rękoma. Popijamy coca-colą.

MIĘDZY PROCESJĄ A FACEBOOKIEM

Bracia Nirada – jeden rozwozi towary do sklepów, drugi rozmyśla jeszcze o swoim biznesie, więc póki co pomagają rodzicom w uprawie ziemi – bawią gości rozmową. Dzisiaj to oni są bohaterami. Tylko Nirad odpoczywa na plastikowym krześle. Oczywiście samemu się zamykają, jednak nie z powodu religijnych uniesień, lecz ze zmęczenia. Nie chodzi nawet o samą procesję, lecz o przygotowanie do niej – struganie ołtarza, układanie kwiatów i misterne nakłuwanie ciała.

Nirad mówi, że spał tylko godzinę, a gdyby mógł, to wbiłby w ciało jeszcze więcej igieł. Za rok chyba da sobie spokój z Kawadią, ale potem pójdzie jeszcze raz, bo to przeżycie jedyne w swoim rodzaju. Zdjęcia, które mu robiliśmy, chętnie obejrzy, ale może jednak potem – zresztą, najlepiej wysłać mu je przez facebooka. A teraz, jeśli nie mamy nic przeciwko, weźmie prysznic i położy się spać. ○



FOT. JAKUB KOVALEWSKI

www.logostour.pl

801 011 864



LogosTour
BIURO TURYSTYKI ZNP



Podróże na 7 kontynentów z LogosTour



Sprawdź naszą ofertę
ponad 150 tras
oferujących niezapomniane
przeżycia

BRAZYLIA
ARGENTYNA – PARAGWAJ
– BRAZYLIA
(+ Urugwaj)
PERU – BOLIWIA
MEKSYK
(+ półwysep Yukatan)
SKANDYNAWIA

USA
(różne warianty)
KANADA
CHINY
(różne warianty)
AUSTRALIA
– NOWA ZELANDIA
CHORWACJA
(różne warianty)

TURCJA
PORTUGALIA – HISZPANIA
ISLANDIA
(+ opcja Grenlandia)
NAMIBIA – BOTSWANA
– ZIMBABWE
WŁOCHY
(różne warianty)

PODRÓŻE DLA KONESERÓW:

USA - NOWY JORK

JAPONIA

EKWADOR
+ Wyspy Galapagos



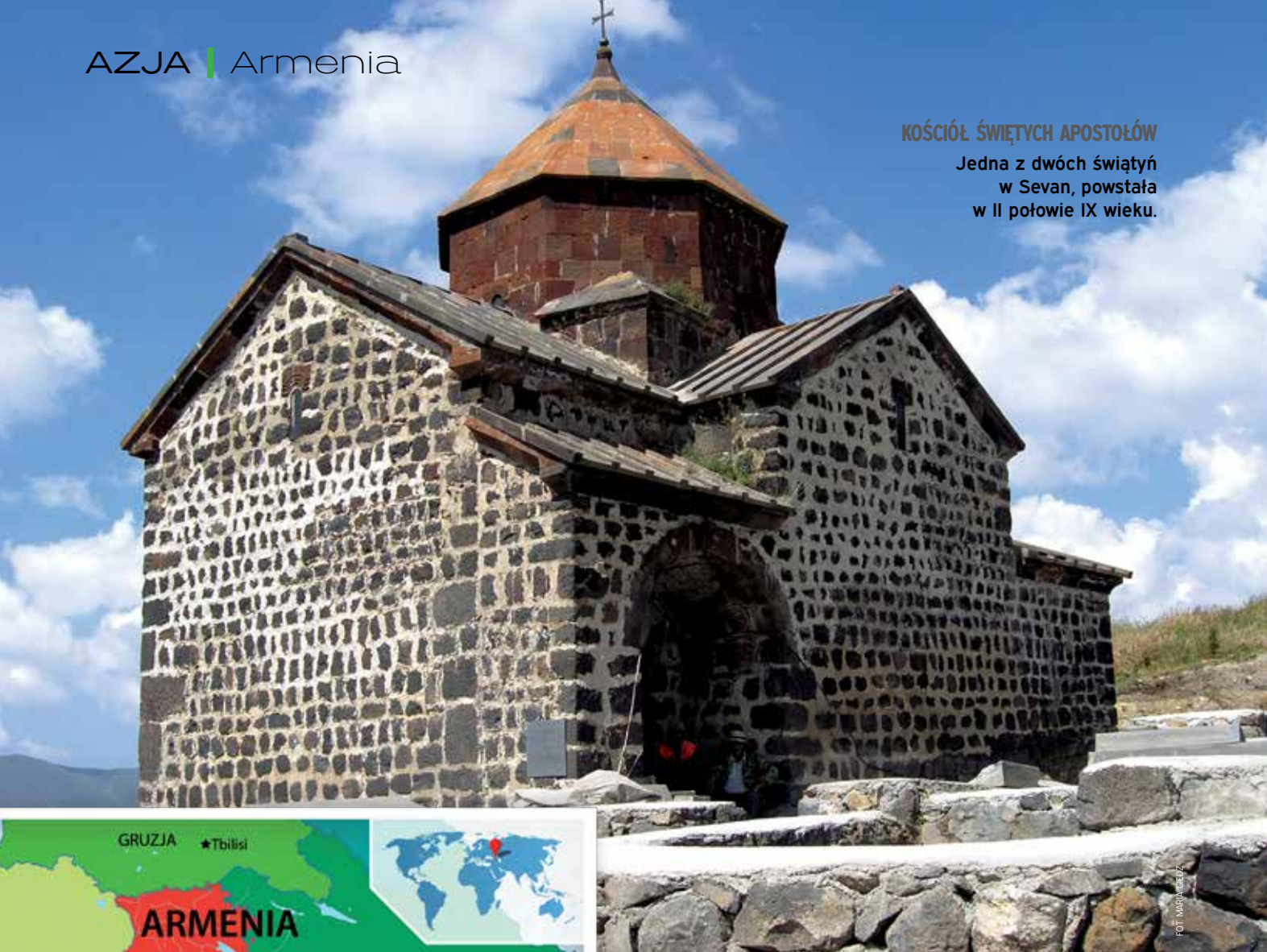
A photograph of ancient Roman ruins, featuring several large stone arches and columns. The architecture is made of dark, weathered stone blocks. The sky is blue with some white clouds. The text 'ZANIM OCHRZCZONO RZYM' is overlaid in large, white, bold letters.

ZANIM OCHRZCZONO RZYM

Maria Giedz

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTYCH APOSTOŁÓW

Jedna z dwóch świątyń
w Sevan, powstała
w II połowie IX wieku.



Z okien mieszkania widzę szczyt świętej góry Ormian. Moi przyjaciele gospodarze tłumaczą, że to właśnie na Araracie odrodziło się życie po potopie. Według Ormian, również i koniec świata nastąpi w Armenii – tutaj rozegra się ostatnia bitwa kończąca nasze życie.

– Jesteśmy chrześcijanami takimi samymi, jak wy, Polacy, ale my zaliczamy się do najstarszych. To u nas wszystko się zaczęło, kiedy Arka spoczęła na tej górze – mówi Wartui. – Przestało padać, wody opadły, a Noe wraz z rodziną oraz zgromadzonymi zwierzętami rozpoczął nowe życie

w żyznej dolinie Araratu, zwanej Artaszat. Może dlatego, wiele wieków później, to my Ormianie – jako pierwsi na świecie – uznaliśmy chrześcijaństwo za religię państwową. To było w roku 301, dwanaście lat przed Rzymianami...

GRZEGORZ OŚWIECICIEL I PRAWDA W INTERNECIE

Ormianie, nawet ci niepraktykujący, mocno identyfikują się ze swoim Kościołem. Tylko nieliczni Persowie i Turcy zmusili do przejścia na islam. Większość przynależy do Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego, nazywanego potocznie katolikos – od tytułu jego zwierzchnika. Niektórzy mówią, że to Kościół gregoriański, gdyż do jego powstania najbardziej przyczynił się św. Grzegorz Oświeciciel, patron Ormian.

Prawdopodobnie pierwszym chrześcijaninem w Armenii był apostoł św. Juda Tadeusz, który przybył tutaj w 43 roku n.e. Po nim w 60 roku dotarł tu św. Bartłomiej. Ale to nie oni, lecz właśnie Grzegorz Oświeciciel, żyjący w latach 257-326, krewny króla Armenii Chosroesa I, został patronem Ormian. Jego życiorys ściśle wiąże się z położonym u podnóża Araratu klasztorem Chor Wirap. Wcześniej w tym właśnie miejscu znajdowała się świątynia przedchrześcijańska. Legenda mówi, że ówczesny władca Armenii, Tyrydates III, zażądał w tejże świątyni, aby św. Grzegorz złożył ofiary pogańskim bóstwom. Ten odmówił i na 13 lat trafił do lochu znajdującego się pod ołtarzem. Tymczasem król, rezydujący w niedalekim Artaszat, ciężko zachorował – święty nie tylko go wyleczył, ale również przekonał do chrześcijaństwa.

Kilkadziesiąt lat później wybudowano w tym miejscu kościół, a potem klasztor. Obecną świątynię p.w. Matki Boskiej, stojącą nad maleńką, wykutą w skale kaplicą poświęconą św. Grzegorzowi, wzniesiono w roku 1669. Kiedy razem z Wartui dotarliśmy do jej rodziny w Artaszat, uznano gremialnie, że musimy zobaczyć Chor Wirap i w miejscu uwięzienia św. Grzegorza Oświeciciela postawić świeczkę.

Znałam ten klasztor m.in. z fotografii zamieszczonych w internecie – na tle białego Araratu prezentował się imponująco. Dla Ormian klasztor i góra to symbol narodowej tożsamości. Postanowiłam zrobić podobne ujęcie, ale okazało się, że latem wznoszący się na

5137 metrów n.p.m. Ararat jest prawie niewidoczny. Błękitne niebo i przejrzystość powietrza występują bowiem tylko zimą. Jednak nie to stanowiło problem. Góra za nic nie chciała się przesunąć w lewo – tak, aby po prawej stro-



nie był klasztor, a na pierwszym planie kilka gałązek z zielonymi liśćmi. Mimo obejścia budowli ze wszystkich stron nie udało mi się zakomponować ujęcia „internetowego”. Czyżby sztandarowe zdjęcie Armenii, umieszczone w sieci, było po prostu fotomontażem?

Jeszcze za życia św. Grzegorza władca Armenii postanowił przenieść stolicę z Artaszat do starego, antycznego miasta Dvin. Stojącą w centrum Dvin świątynię zamienił na kościół chrześcijański. Zgodził się też, aby obok królewskich pałaców usytuowano siedzibę katolikosa, czyli głównego biskupa Armenii. Dopiero po najeździe Mongołów w roku 1236 i doszczętnym zniszczeniu miasta, katolikos przeniósł się do Eczmiadzynu, pod Erywań.

KOŚCIÓŁ MATKI BOSKIEJ

Świątynia w Chor Wirap,
miejsce uwięzienia
świętego Grzegorza
Oświeciciela.



CHACZKARY W HAJRAWANK
Kamienne cmentarzysko
przy kościele św.
Grzegorza Oświeciciela.

CHACZKARY BRONIĄ ORMIAN

Po pobycie u kurdyjskich jezuidów w górzystym Ałagazie (po ormiańsku Aragat), gdzie było pięknie, gościnnie, ale padał deszcz i temperatura nie przekraczała 15 stopni, wyjechaliśmy nad Sewan. To największe jezioro Kaukazu, położone na wysokości 1900 m n.p.m. Ale pływanie łódką, opalanie się i przyrządzanie szaszłyków szybko nam się znudziło. Karen, geolog i specjalista od rytów naskalnych, których w Armenii jest sporo, zaproponował wycieczkę na południe jeziora, do cmentarzyska chaczkarów.

Po drodze zatrzymaliśmy się w miejscowości Sewan, gdzie na wzgórzu, wyrastającym niemal prosto z wody, stoją dwa maleńkie kościoły zbudowane z wulkanicznego tufu. Jeden poświęcony Świętemu Apostołom, drugi Matce Boskiej. Oba (kiedyś stał tam jeszcze trzeci) wzniesiono w II połowie IX wieku. Starszy i mniejszy, św. Apostołów – to pierwszy kościół wzniesiony po 200 latach islamskiej dominacji i włączenia Armenii do arabskiego kalifatu. Oba wzorowane są na architekturze wczesno-

chrześcijańskiej. Większość kościołów w Armenii, niezależnie od okresu ich budowania, to niewielkie budowle, stawiane na planie krzyża łacińskiego, ale tak krótkiego, że czasem mylonego z krzyżem greckim.

Dwadzieścia kilometrów na południe, w dawnym kurorcie Hajrawank, znajduje się kolejny klasztor p.w. Grzegorza Oświeciciela, stojący na wysokiej skarpie nad jeziorem, skąd rozciąga się piękny widok. Jego ściany zewnętrzne w wielu miejscach zdobione są znakami krzyża. Podobnie jest z kolumnami wewnątrz. Przed głównym portalem leży kamienna płyta z rytym, prymitywnym rysunkiem ukazującym kontury ludzkiej postaci. To sylwetka biskupa, który był „wielkim i bardzo dobrym człowiekiem”. Kto po płycie przejdzie, zostanie objęty nadzwyczajną opieką zmarłego. Kościółek otoczony jest starym cmentarzyskiem z chaczkarami, czyli wyrytymi w kamiennych blokach, bogato zdobionymi krzyżami. Chaczkary, pojedynczo czy grupowo, występują przy każdym ormiańskim kościele. Są symbolem wyznania wiary i znakiem



jedności z narodem ormiańskim. Stawia się je w intencji, pełnią m.in. rolę podobną do katolickich wotów, ofiarowanych Bogu.

Wreszcie dotarliśmy w okolice Noratus, gdzie znajduje się ogromne, kamienne cmentarzysko. Całe rzędy chaczkarów, wyglądających jak wojsko. I rzeczywiście, wedle starych opowieści, w tym miejscu, w połowie V w., udało się zatrzymać perską armię, do czego przyczyniło się to chaczkarowe wojsko. Co prawda główna rozprawa pomiędzy Ormianami i Persami toczyła się wiele kilometrów na południe, w okolicach Awarajr nad rzeką Thmut, ale perscy zwiadowcy zapuszczali się w głąb Armenii. Pewnej nocy dotarli i tutaj, do pola chaczkarów. Ujrzeni je w ciemności niczym setki stojących w szyku żołnierzy i przestraszyli się. Odjechali, głosząc, że ormiańskie wojsko jest bardzo liczne. Po-

dobnie w X w. zachowali się Arabowie, odstupując od napaści na okoliczną ludność.

Wojna z Persją toczyła się w roku 451, dokładnie w tym samym czasie, kiedy w Chalcedonie obradował sobór Kościoła powszechnego. Była to pierwsza w historii wojna w obronie chrześcijaństwa, i z powodu tej właśnie przeszkody ormiańscy biskupi do Chalcedonu nie dojechali. Konsekwencją stało się rozdzielenie Kościoła ormiańskiego od Kościoła powszechnego, co oficjalnie nastąpiło sto lat później, w roku 554. Dzisiaj różnica pomiędzy Kościołem ormiańskim a katolickim jest taka, że Ormianie uznają głównie postanowienia trzech pierwszych soborów. Różnic jest sporo, zwłaszcza w liturgii, która jest też inna niż bizantyjska czy prawosławna. W Kościele ormiańskim nie obowiązuje celibat.

POD WEZWANIEM PATRONA ORMIAN

Kościół św. Grzegorza Oświeciciela w Hajrawank.

BEZPIECZNE WAKACJE

KONSALNET

**RADY DLA
WYJEŹDŻAJĄCYCH:**

Zainstaluj czujki ruchu
z kamerą – WideoAlarm.



FOT. MARIA GEDZ

U PODNÓŻA ŚWIĘTEJ GÓRY
Erywań, widok na Ararat.

DLA TYCH, KTÓRZY LUBIĄ ZAGADKI

Współczesny Erywań, stolica Armenii, nie należy do miast szczególnie interesujących, chociaż jest ładnie położony. Co prawda istniał już w VIII w. p.n.e. i jest starszy od Rzymu, ale zabytków prawie nie ma, poza wspaniałą twierdzą Erebuni wzniesioną w 782 r. p.n.e. Centrum miasta to w większości architektura socrealistyczna. Dzielnice mieszkalne składają się z brzydkich, od lat nieremontowanych, klockowatych bloków z nieczynnymi windami. Wszędzie widać pozostałości sowieckich porządków. Atrakcję miasta stanowią dwa dobre muzea: Matenadaran, gromadzące znakomite manuskrypty, oraz Historyczne, z ciekawymi zbiorami dotyczącymi miasta i kraju.

W okolicy Erywania znajduje się kilka miejsc, których nie wolno przegapić. Najważniejszym jest Eczmiadzyn, kilkudziesięciotysięczne miasto z siedzibą patriarchy Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego. Kompleks sakralny, na który składają się katedra i kilka mniejszych kościołów wraz z ruinami świątyni w Zwartnoc, zostały wpisane na Listę światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO.

Niesamowita jest tamtejsza katedra, wielkością przypominająca nieduży kościół parafialny w Polsce. Wzniesiono ją na planie krzyża ormiańskiego, formy pośredniej między krzyżem greckim i łacińskim, a przekształcano przez wiele stuleci, poczynawszy od IV w. Jest piękna, a najciekawsze są jej detale architektoniczne umieszczone na zewnętrznych ścianach. Można ją porównywać z inną, jeszcze bardziej wyjątkową katedrą p.w. Świętego Krzyża, wzniesioną w X w. na wyspie Akdamar, na jeziorze Wan. Niestety, dzisiaj to miejsce znajduje się w granicach Turcji, chociaż ściśle wiąże się z kulturą i religią narodu ormiańskiego.

O tym niewielkim, dziesięć razy mniejszym od Polski kraju, można mówić bez końca. Wspomnę tylko o jeszcze jednym miejscu – również wpisanym na listę UNESCO. Klasztorze Geghard, wykutym w skale i pochodzącym z VII w. Jego fantastyczna, wczesnochrześcijańska ikonografia w formie rytych w skale przedstawień po prostu zachwyca. Jest tam niedokończona skalna kaplica, a obok dostawiony kościół. Trochę dalej – miejsce do składania krwawych ofiar, głównie z pactwa – jak ze starotestamentowych czasów. Piękne, tajemnicze miejsce dla tych, którzy lubią zagadki. ○

bikeBoard

www.bikeBoard.pl

opiniotwórcze czasopismo dla rowerzystów

NEWSY których
nie mają inni

EKSKLUZYWNE
tematy

NAJLEPSZE
zdjęcia

WIELKIE WYŚCIGI
EKSPEDYCJE
WYPRAWY
WYCIECZKI
ŚCIEŻKI

JEŹDŻĘ
więc jestem

INSPIRACJE

WIĘCEJ

przestrzeni
poczuj
poczytaj

WIĘCEJ NIŻ GDZIE INDZIEJ

www.bikeboard.pl





ROZMOWA Z URSZULĄ DUDZIAK wokalistką jazzową

Marek Szpendowski: Napisałem o Tobie „wokalistka jazzowa”. Powinienem chyba jeszcze dodać „pisarka”?

Urszula Dudziak: Nie przezywaj mnie tak. Nie wiem, jak się zachować. To jest dla mnie zupełnie nowa sytuacja. Nie jestem przecież pisarką. Tylko notuję to, co widzę, co czuję, co myślę. Szukałam klucza do mojej książki i pomogła mi w tym córka. Powiedziała: napisz tę książkę tak, jak opowiadasz na koncertach. Bo trzeba Ci wiedzieć, że aby nie zanudzić ludzi moim specyficznym śpiewaniem, jak to tatuś nazywał „kociokwikami”, opowiadam anegdotki. Czasami tak się rozbisurmanię, że zapominam śpiewać. Szczęśliwie ludziom moje opowieści – te koncertowe i te książkowe – spodobały się i obie formy doskonale się sprzedają.

Jesteś jednym z niewielu polskich artystów, którzy faktycznie mogą powiedzieć o odniesieniu sukcesu na świecie? Gdzie jest jego źródło?

To na pewno niesamowity upór Michała Urbaniaka, który przez dziesięć lat przygotowywał się do tego skoku. Do Nowego Jorku wyjechaliśmy w roku 1973. On ze skrzypcami, grający tak, a nie inaczej, i ja wokalistka, śpiewająca tak, a nie inaczej. To było zestawienie muzyczne,

z którym doskonale wstrzeliliśmy się w tamten rynek. W Ameryce to się nazywa „pomysł”. Nasz się podobał. Do tego upór, nieustępliwość i fanatyczna wręcz wiara w swoją muzykę.

Jak udawało się Wam liderować amerykańskim muzykom, którzy na jazzie się wychowali?

Patrzyli na Urbaniaka jak w obraz. Kiedy graliśmy z Anthony'm Jacksonem, kazał mówić na siebie Tosiek.

Podróże muzyczne zaczynało z Wami wielu dziś już legendarnych muzyków: Markus Miller, Kenny Kirkland z zespołu Stinga.

Pamiętam pierwszą próbę z Kenny'm. Przyszedł o lasce, bo był właśnie po wypadku. Zaczął grać na pianinie, bardzo oszczędnie, co mi się nie podobało, bo zawsze oczekiwałam większej żywiołowości. Powiedziałam Michałowi, że potrzebujemy lwa, tygrysa. A na to Michał: to jest tygrys, tylko jest na valium.

Mówisz, że w Stanach udało się Wam wszystko, co sobie zaplanowaliście. Czy na pewno?

Prowadziłam, bym opowiedziała o Waszyngtonie. Odbывał się tam festiwal na 800 tysięcy osób. Nawiedzony organizator prosił mnie, bym przyjechała z moim projektem solowym. Samolot spóźnił się dwie godziny. Miałam śpiewać jako pierwsza, a musiałam wejść w środek folkowych zespołów. Na widowni piwko, marihuana, zabawa. Po pierwszym utworze cisza, po drugim okrzyk: „go back to Poland”. Zrozpaczona chciałam wracać. Promotor kazał mi jednak wystąpić następnego dnia, pierwszej w kolejności. I już było dobrze.

Największe zaskoczenie w czasie Twoich artystycznych podróży?

Zaprosił mnie na nagrania do Londynu DJ Vadim. Pojechałam i spotkałam młodego „szczawia”, u którego zobaczyłam wszystkie nasze płyty, w tym winylowe. Przecież jego na świecie nie było, gdy to nagrywaliśmy.

Jak lubisz podróżować?

Kręcą mnie pociągi. Tak zwiedziłam całą Europę. Wczoraj wracałam z Łodzi pociągiem, czytałam książkę i miałam poczucie winy, że nie obserwuję, co jest za oknem.

Twoje ulubione miejsce na świecie. Tylko błągam, niech to nie będzie Nowy Jork.

No dobrze... Central Park. Jest to miejsce, przez które zaakceptowałam Nowy Jork. Tamtędy woziłam dzieci do szkoły, siadałam z nimi pod ukochanym drzewem, odrabialiśmy lekcje, chodziłam tam na spacer z Jerzym Kosińskim, widziałem wiele fantastycznych koncertów. To zdecydowanie to miejsce. ○



FOT. KRZYSZTOF OPALINSKI

Marek Szpendowski – producent filmowy, właściciel agencji Viva Art. Organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.

www.poznaj-swiat.pl

MIESIĘCZNIK

uzależnia od czytania i podróży



(12 egzemplarzy w cenie 10)

szczegóły na:

www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Wojciech Albiński

BIAŁA CHUS- TECZKA

Do zagrożonej farmy ze wszystkich stron zbliżały się terenowe wozy, w każdym siedzieli uzbrojeni ludzie. Było już ciemno, busz rysował się wrogo. Kierowcy obawiali się zderzenia ze springbokiem. W każdej chwili zwierzę może wypaść z pobocza, wśród rozbitych kawałków przedniej szyby pojawiają się dorodne rogi.

Najtrudniejszą trasę miał do przebycia Martin van Zyl. W czasie burzy woda wymyła na wierzch grube korzenie przecinające drogę. Wpaść na nie z dużą prędkością oznaczało złamanie podwozia albo wyniesienie wozu w powietrze.

Pierwszy dotarł na farmę Anton z osiemnastoletnim synem. Chłopak odkręcił drut, na jaki zamknięta była brama wjazdowa na podwórze. Kiedy znaleźli się naprzeciw domu, zakręcili drut z powrotem. Obaj ściskali w dłoniach



Helen van Rooyen
zdażyła nacisnąć
„panic button”.
We wszystkich
okolicznych farmach
rozległ się głos syreny.
Farmerzy rzucili na
stół widelce i noże,
jednym haustem
kończyli kubeczki
z mleczną kawą. Alarm
ogłoszono w całej
okolicy.

FOT. SHUTTERSTOCK

rewolwery. Za nimi błysnęły światłami Martin van Zyl i pojawiły się reflektory dwóch następnych wozów.

Przed podłużny budynek i stojący opodal dom mieszkalny wylegli pracownicy farmy. Martin większość z nich znał, chociaż kilku wyglądało obco. Owinięta w koce gromadka kobiet szeptała coś o wydarzeniach na farmie. Z buszu szedł już nocny chłód. Kilku mężczyzn w drelach gromadziło się przed głównym domostwem, wśród nich Petrus, traktorzysta.

– *Co tu się stało?* – zapytał. Farmerzy wyskakiwali z land roverów, jedni w widoczny sposób potrząsając bronią, inni trzymając ją ukrytą.

– *Tsotsi* – padały nieśmiało głosy. Otulona w koce gromadka skupiała się coraz bardziej. Kobiety zapy-

tane zwały winę na obcych, wypierały się jakichkolwiek związków z napastnikami.

Martin znał Petrusa, pamiętał go z wielu polowań. Petrus zawsze wiedział, gdzie kryje się zwierzyna. Teraz obaj mężczyźni wymienili kilka słów na uboczu. Podeszedł do nich człowiek w wojskowej czapce.

– *Sixtytwe!* – ucieszył się Martin. – *Czym przyjechali tsotsi? Wyszli z buszu?*

– *Przyjechali kradzionym wozem na obcych numerach.*

Martin powiódł wzrokiem po wrakach stojących na podwórzu.

– *Zabrali wóz ze sobą.*

– *A gdzie baas?* – pytali ostrymi głosami farmerzy. – *Gdzie pani van Rooyen?*

Robotnicy wskazali na główny budynek farmy.

– *Czy są tam ciągle w środku?*

Od przestraszonej gromadki nie dostali żadnej odpowiedzi. Przygotowali się do wejścia do budynku mieszkalnego, jak do zdobycia twierdzy. Dwóch farmerów zajęło pozycję obok tylnych okien, reszta, z gotową bronią, ostrożnie pchnęła drzwi wejściowe. Otworzyły się bez zgrzytu. Znaleźli się w ciemnym korytarzu, drogę zagradzała czarna, farmerska, na wpół otwarta szafa, ciężkie ubrania i grube buty, dobre do wychodzenia w pole. Wyraźnie rabusie czegoś w starych gratach szukali. Farmerzy docisnęli drzwi, zawiasy zaskrzypiały. Gdyby ktoś na nich czekał, wiadomo było, w którym korytarzu się znaleźli. Na chwilę zamarli, ciągle nie było wiadomo, czy zaskoczeni zjawieniem się zbrojnej ekipy, napastnicy nie ukryli się w głównym domu.

– *Oom van Rooyen!* – wołali, nie kryjąc już dłużej swej obecności. Potykali się o porzucone w nieładzie sprzęty. W ciemne kąty rzucali snopy światła z latarek. W sypialni dokonali strasznego odkrycia. W małżeńskim łóżku leżeli obok siebie Helen i Anton van Rooyen. Leżeli bez ruchu, oboje mieli twarze przykryte białymi chusteczkami, przez które przeciekała krew.

Obejrzelik dokładnie wnętrze. Czuło się, że mieszkali tu ludzie starzy. Dawno niepastowana podłoga, firanki naderwane w obu końcach. Na długim holenderskim kredensie stała przyćmiona karafka na wodę i kilka kieliszków. Na ścianie wisiał czarny, rzeźbiony zegar z ciężarkiem i duszą. Widać dzwonił o nieodpowiednich porach, bo wahadło zatrzymano i teraz od lat zbierał tylko kurz. Do skrzyni w kącie wiele lat temu zgubiono klucz. Nikt nie wiedział, co mogło być w środku. Odtąd używano jej tylko jako podstawy pod lichtarze, miskę i emaliowy dzbanek. Na czarnym biurku stał sejf z otwartymi drzwiczkami. Z wnętrza wypadały papiery, tytuły własności, kopia aktu małżeństwa, jakieś pokwitowania wpłat do banku. Widać tsotsi zmusili farmera, aby dał im klucz, albo sam drzwiki do sejfu otworzył. Liczyli, że znajdą w środku cash i krótką broń. Nikt nie wiedział, czy się nie zawiedli.

Młody Anton uchylił białą chustkę na twarzy zabitego. Opuścił ją przerażony.

– *Zostaw – zgromił go inny farmer.*

– *To robota dla policji* – dodał van Bruyn.

– *Dlaczego oni kładą te chustki na twarzach zabitych?*

– *Wythumaczę ci* – przyrzekł van Bruyn.

– *Powiedz...* – prosił Anton.

– *Oni wierzą, że na twarzy zabitego odbija się obraz zabójcy... I wolą być ostrożni.*

Coraz więcej ludzi gromadziło się przed domem. Kobiety lamentowały. Jeżeli tsotsi zostawili jakieś ślady, to zostały one zdeptane przez dziesiątki stóp.

– *Skąd przyszli tsotsi? Czy ktoś ich widział w tej okolicy?*

Nikt ich nigdy nie widział, z otulonych kocami postaci nie dochodził żaden głos.

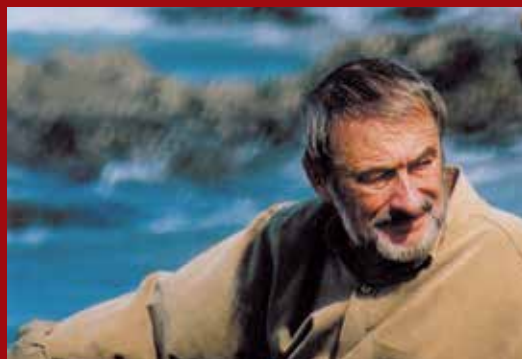
– *A gdzie są psy?* – zapytali farmerzy. Zdziwiła ich cisza, brak szczekania.

– *Tsotsi je zadźgali widłami* – padła z gromadki odpowiedź.

– *Z jednym się tylko nie zgadzam...* – wrócił do białych chusteczek młody Anton. – *W naszych okolicach ludzie wierzą, że to na twarzy mordercy pojawia się wizerunek zabitego, a nie odwrotnie.*

– *Nie martw się tym* – uciszali go inni. – *Nie tam sobie głowy. Tak – czy inaczej to sprawa dla policji.* ○

O Autorze...



Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kąt” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).

KSIAŻKI POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”



Wojciech Cejrowski
**PODRÓŻNIK WC
WYDANIE II POPRAWIONE**
format: 145 x 205 mm
cena 43 zł



Basia Meder
**BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



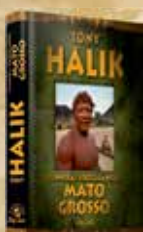
Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł



Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Antonio Halik
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MĄTO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



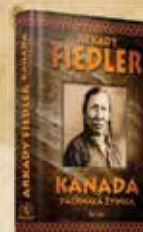
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMIEN**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł, 49 zł (zapachowa)



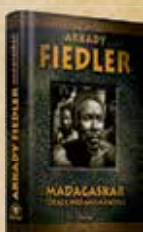
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł,
15 zł (opr. miękka)



Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITEŁO**
format: 145 x 205 mm
cena: 49,90 zł



Bolesław A. Uryn
**MONGOLIA. WYPRAWY
W TAJGĘ I STEP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Kinga Choszcz
**PROWADZIŁ NAS LOS.
KINGA & CHOPIN**
format: 145 x 205 mm
cena: 47 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



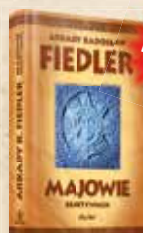
Kinga Choszcz
**PIERWSZA WYPRAWA.
NEPAL**
format: 145 x 205 mm
cena: 41 zł



Robb Maciąg
**ROWEREM
W STRONĘ INDI**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł



Stefan Czerniecki
DALEJ OD BUENOS
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Arkady Radosław Fiedler
**MAJOWIE.
REAKTYWACJA**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł



Anna Świątek
**JAPONIA
W SZEŚCIU SMAKACH**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł

Magdalena Biskup

ZATRZYMANE W CZASIE

ŻYWA TRADYCJA

W wiosce Yakel na wyspie Tanna przez wieki niewiele się zmieniło. Mieszkańcy żyją według wskazań *kastom* – zbioru tradycji i rytuałów. Formą przekazywania legend i tradycji są taniec i śpiew.



CHERUBIN Z YAKEL

Na Vanuatu dzieci często mają blond włosy. Z wiekiem jednak czupryny ciemnieją i spotkanie dorosłego blondyna jest praktycznie niemożliwe.



FOT. MAGDALENA BISKUP

PRZED ŚWIETLICĄ

Drzewo *banyan* to centralny punkt każdej tradycyjnej wioski na Vanuatu. Wygląda jak dziesiątki drzew zrosniętych razem. Często jest tak ogromne, że w jego wnętrzu urządza się *nakamal* – rodzaj świetlicy, w której co wieczór spotykają się mężczyźni, by pić napar z kawy.

**TOTEM WZYWA**

Na placu spotkań w centrum wioski stoi wydrążony totem. Dźwięk, jaki wydaje, gdy uderzy się weń specjalną pałką, roznosi się bardzo daleko. To znak, że wódz wzywa wszystkich na plac.



DO PIERWSZEJ ISKRY

W Yakel nie ma prądu, więc ogień jest niezwykle ważny. Rozpala się go w tradycyjny sposób, trąc o siebie kawałki drewna. Mieszkańcy wioski opanowali tę sztukę do perfekcji i pierwszą iskrę uzyskują już po kilku minutach.



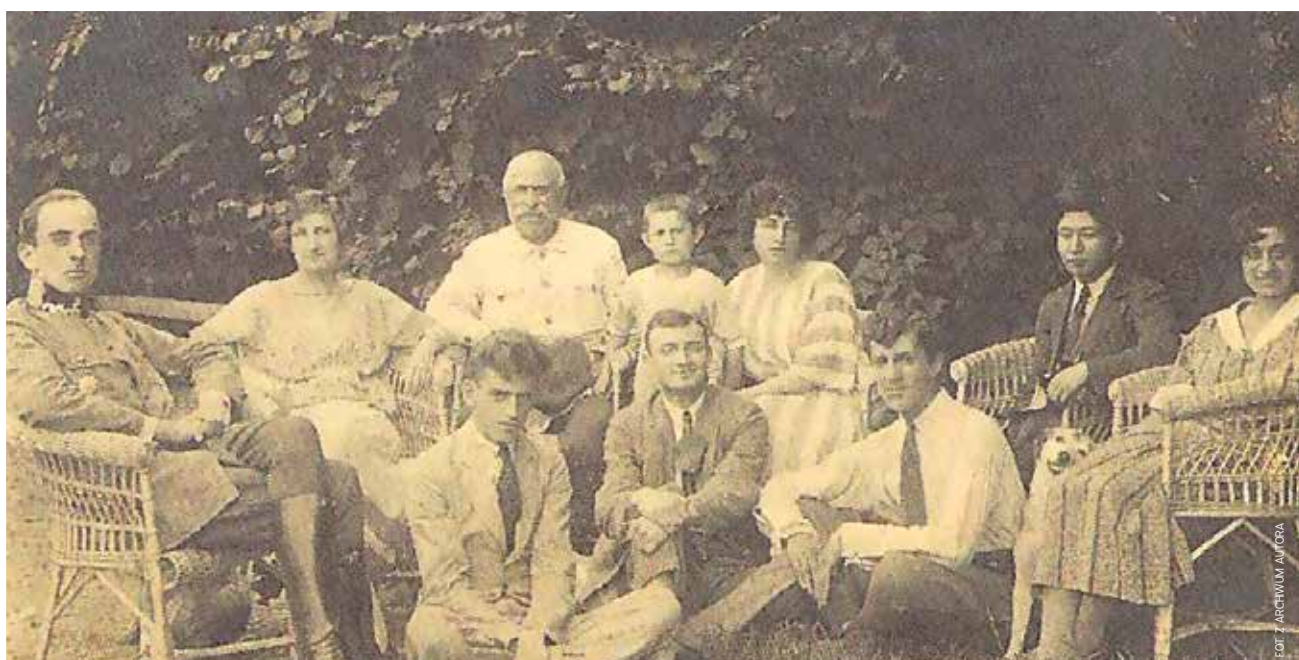
SILAMI NATURY

Młoda mama przed miesiącem urodziła swoje drugie dziecko. Poród odebrały starsze kobiety z wioski.



Kiedy pod koniec 1961 roku w Tokio jego życie dobiegało końca, japoński historyk i tłumacz literatury polskiej Ryochu Umeda poprosił o polskie jedzenie – zsiadłe mleko, ciemny chleb i truskawki.

POLSKA SAGA RODU UMEDA



Ryochu Umeda (drugi z prawej) z rodziną profesora Witolda Jabłońskiego, sinologa.
Pierwszy z lewej to generał Kamil Seyfried.

Swojej żonie Hisayo polecił, aby po jego śmierci ponownie wyszła za mąż, najlepiej za człowieka, który będzie znał i kochał język polski oraz polską kulturę. A najstarszemu ze swych synów, Yoshiho, nakazał, aby pochował w Polsce urnę z

częścią jego prochów. Jednocześnie wyraził życzenie, aby resztę jego popiołów złożono na miejscowym cmentarzu buddyjskim. Przedtem ochrzcił się i zobowiązał rodzinę, aby zamówiła mszę za jego duszę w kościele katolickim. Japoński zwyczaj dopuszczał taki dualizm religijny.

Warszawa zamiast Berlina
Musimy cofnąć się jeszcze o czterdzieści lat, kiedy zaczęła się ta niezwykła historia. Wtedy bowiem los zetknął 23-letniego mnicha buddyjskiego z Polakiem, który znał język japoński. Był to pisarz

i podróżnik Wieńczysław Waław Piotrowski, który miał za sobą liczne wędrówki po Syberii i Dalekim Wschodzie. W Mandżurii redagował gazetę tamtejszej Polonii. Polski Komitet Ratunkowy we Władywostoku, zajmujący się po bolszewickiej rewolucji repatriacją polskich dzieci ze wschodnich rubieży Rosji oraz z Chin, skierował go w 1921 r. do Tokio, by założył tam pismo dla polskich tułaczy, wydawane również w językach angielskim i japońskim. Miało ono informować Japończyków o sprawach polskich. Prawdopodobnie trafiło do rąk Ryochu Umedy, któremu sekta zen, będąca odmianą buddyzmu, zaproponowała poszerzenie filozoficznej wiedzy na jednym z europejskich uniwersytetów. Jego zwierzchnicy postanowili, że wyślą go do Berlina.

Statek, na który wsiadł w Jokohamie, płynął do Marsylii. Na jego pokładzie znajdował się Waław Piotrowski, wracający do kraju po wypełnieniu swej misji. Szybko nawiązał z nim konwersację. Drugim Polakiem był Stanisław Michowski, polski oficer, który w Japonii znalazł się po ucieczce z rosyjskiej niewoli. Zaprzyjaźnili się, gdy zapytał ich: „Czy ojczyznę Chopina jest Polska?”. Obaj Polacy wysiadali z japońskiego statku we Władywostoku. Stamtąd kolejną udawali się do Warszawy. Ryochu Umeda, którego nazwali „Ri”, dołączył do nich, po upewnieniu się, że do Berlina można trafić również przez stolicę Polski, a przy okazji zobaczyć Żelazową Wolę, w której Chopin przyszedł na świat.

O tych dwu postaciach wspomina Krystyna Kolińska, autorka książki „Tajemnice na sprzedaż”, wydanej w Warszawie w 1968 r. Na peronie w Warszawie czekał na Stanisława Michowskiego inny polski pisarz i podróżnik, Stanisław Maria Saliński, który młodego Japończyka, niemającego pieniędzy na hotele, zabrał do domu swojej matki. Potem Ryochu Umeda zamieszkał z Michowskim we wspólnej kawalerce. Ich sąsiadami byli rodzice Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. W czasie wędrówek po mieście natknął się na drodze do Wilanowa na pustą zabytkową basztę. Wprowadził się do niej. Gałczyński często go tam odwiedzał. Do jego samotni wdrapywał się po drabinie murarskiej. Zainspirowało go to



**Ryochu Umeda z Kamilem Seyfriedem.
Spoczął z nim potem we wspólnym grobie.**

do napisania wiersza „Lunatyk”, który Ryochu recytował na spotkaniach z polską cyganerią. Doskonale czuł się w takim towarzystwie. Śpiewaczka Wanda Wermińska, jedna z gwiazd przedwojennego Teatru Wielkiego, wspomina, że na którymś z wypadów bohemy poza miasto spotkała w okolicach Warszawy człowieka w kimonie, wędrującego o wschodzie słońca po łące ze skrzypcami pod pachą. O świcie różowiły się

mgiełki i na tle różowego nieba czerniły się smukłe topole przydrożne. „Niech pani patrzy – powiedział – to Chopin”.

Rektor wykradający

Skąd się wzięła wyjątkowa sympatia? W pierwszych latach pobytu w Polsce Ryochu klepał biedę. Sytuacja zmieniła się, gdy w 1924 r. zaczął prowadzić lektorat z języka japońskiego na Uniwersytecie



Yoshiho Umeda przebywał w Polsce od 14 roku życia. (fot.: Marzena Hmielewicz)

Warszawskim. W latach 1926-1939 uczył swej mowy słuchaczy Instytutu Wschodniego w Warszawie, subsydiowanego przez MSZ. Jednym z jego studentów był późniejszy wybitny polski japonista prof. Wiesław Kotański. Innym – Kamil Seyfried, syn generała brygady Wojska Polskiego, późniejszy orientalista i dyplomata, noszący takie samo imię jak ojciec. 14-letniego Yoshiho Umedę, wiozącego w 1963 r. urnę z prochami rodzica, dokładnie tą samą trasą, którą Ryochu przebył w 1922 r., witali w Warszawie Wiesław Kotański oraz Karol Seyfried junior, uczniowie jego ojca. Yoshiho nie umiał wtedy jeszcze sklecić nawet jednego zdania po polsku. Dla Japończyka to język niezwykle trudny w artykulacji. Jego ojciec długo nie mógł sobie poradzić z niewymawianą przez mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni głoską „r”,

którą odbierają jako „r”. Ryochu Umeda mówił o sobie, ku ucieście przyjaciół, że jest „rektorem, wykradającym język japoński”.

Historia zatoczyła krąg. Pierwszą noc w Warszawie Yoshiho spędził w domu Wiesława Kotańskiego, który odstąpił mu łóżko swego syna Marka (późniejszego twórcy Monaru). W tym czasie przygotowano mu pokój w domu Kamila Seyfrieda juniora. Następnego dnia obaj pojechali na grób generała Kamila Seyfrieda, który zmarł w 1960 r. Jego syn zaproponował złożenie urny z prochami Ryochu w rodzinnym grobie Seyfriedów na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. W tym samym grobie spoczął później drugi mąż Hisayo Umedy, która spełniając życzenie pierwszego małżonka, wyszła po jego śmierci za japońskiego poetę i polonistę Yukio Kudo. Panią

Hisayo Umeda-Kudo, profesora Yukio Kudo oraz Yoshiho Umedę poznałem w 1970 roku przez Olgierda Budrewicza, który odwiedził ich w Tokio i zaprosił w moim imieniu do telewizyjnego „Klubu Sześciu Kontynentów”, kiedy dowiedział się, że wkrótce przyjadą do Warszawy. Spotkanie z nimi zatytułowane było „Polska – moja miłość” w nawiązaniu do ostatnich słów Ryochu Umedy.

We wrześniu 1939 r., po pierwszych bombardowaniach Warszawy, ambasada Japonii ewakuowała przez Budapeszt i Bałkany wszystkich Japończyków przebywających w Polsce. Ryochu Umeda nie chciał wyjeżdżać. Dyplomaci siłą wciągnęli go do samochodu. Do kraju Chopin już nie wrócił. Początkowo zamknął się w buddyjskiej świątyni w wiosce Mobarą. Chciał spokojnie żyć, pisać wiersze i pracować na roli. Tam poznał i poślubił

Hisayo. Tam też przyszedł na świat Yoshiho. Wtedy przeniósł się do Osaki, gdzie zaproponowano mu wykłady z historii Słowian. W Osace przetłumaczył „Ode do młodości” Mickiewicza, „Latarnika” i „Kamizelkę” Prusa, opublikował pierwsze tłumaczenie z polskiego na japoński powieści „Quo vadis” Sienkiewicza. Zaczął pisać pierwszą japońską historię Polski. Potem przeniósł się do Tokio, gdzie przyczynił się do stworzenia japońskiej polonistyki. Wysłał na studia w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych swego siostrzeńca, Koji Kamoji, który pozostał w naszym kraju, współpracuje z Galerią Foksal w Warszawie, organizuje liczne wystawy.

Z Polską nigdy się nie rozstał. Do końca życia Ryochu Umeda korespondował z przyjaciółmi w Polsce. Jednym z nich był profesor archeologii Uniwersytetu Łódzkiego Konrad Jażdżewski, któremu relacjonował swoją pracę o kulturalnym rozwoju Polski w X

wieku. W szpitalu, gdzie toczył upartą walkę o życie, przetłumaczył „Faraona” Bolesława Prusa oraz „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej. Jego słowa notowała Hisayo, która, jak stwierdził z dumą, „bardzo dobrze pamięta historię Polski”. Pod koniec sierpnia 1961 r., słabnącą i niepewną ręką napisał, że jest po ciężkiej operacji, która zlokalizowała sześć ognisk raka w jego organizmie. Nie traci jednak nadziei, że Pan Bóg pozwoli mu „jeszcze dla ukochanej Polski pracować”. Ale 5 grudnia już nie mógł utrzymać ołówka w ręku. Podyktował polskiemu franciszkaninowi ostatni list do profesora Konrada Jażdżewskiego, w którym powiadomił że pozostał mu najwyżej tydzień życia. Powierzył jego opiece swego syna.

Konrad Jażdżewski miał pięcioro własnych dzieci (trzech synów i dwie córki), ale po dwóch latach usynowił Yoshiho Umedę na mocy woli wyrażonej ustnie i listownie przez Ryochu Umedę, potwierdzonej przez jego żonę Hisayo, podkreślając, że oboje wysłali Yoshiho na wychowanie do Polski. Przez te lata

mieszkał u niego na prawach członka rodziny i poznał język. Mogłem to ocenić sam, a wraz ze mną kilka milionów widzów, oglądających w 1970 r. program „Polska – moja miłość”. W sześć lat później, los tak zrządził, płynąłem na Antarktydę z Krzysztofem Jażdżewskim, biologiem polarnym, polskim przyrodnim bratem Yoshiho Umedy, który wyznał mi, że jego ojciec skrupulatnie pilnował, by młody Japończyk codziennie wykuwał na pamięć 10 polskich słówek. W 1969 roku rozpoczął studia w Warszawie, początkowo na polonistyce, potem na historii sztuki. W 1980 roku wstąpił do „Solidarności”. W maju 1981 roku towarzyszył Lechowi Wałęsie w podróży do Japonii. Potem, gdy przyjął w Polsce chrzest, Wałęsa został jego ojcem chrzestnym. Yoshiho zmarł 4 maja 2012 r. w Warszawie. Urna z jego prochami spoczęła w grobowcu generała Kamila Seyfrieda obok przywiezionej przez niego do Polski urny ojca, Ryochu Umedy, oraz ojczyma Yukio Kudo. Jest to jedyny tego rodzaju japoński grób w Polsce. ○

DOLINA RADOŚCI

Stara Oliwa w Gdańsku



- **wyjątkowo atrakcyjna działka** na terenie Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego
- ponad 2,5 ha powierzchni
- możliwość budowy rezydencji **do 450 m² powierzchni użytkowej**
- **Potok Oliwski** płynący przez posiadłość
- cisza, spokój, piękna okolica - która skusiła nawet piłkarską reprezentację Niemiec do zamieszkania w tej dolinie podczas Euro 2012



tel. 608 599 736, e-mail: dolina.radosci@wp.pl

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Serbowie uwielbiają grillować, ten sposób przyrządzania jedzenia jest tam najbardziej popularny. Właśnie na grillu, opalonym węglem drzewnym, należy przygotowywać ćevapčići, czyli serbskie kebaby. W Serbii robi się je najczęściej z wołowiny, ale można użyć innych mięs, także mieszanych. Do tej potrawy idealnie pasuje sos tzatziki, sałatka z pomidorów i cebuli oraz grillowane warzywa.



ĆEVAPČIĆI

Przepis nadesłała:
Pani Beata z Węgorzewa

SKŁADNIKI (dla 6 osób):

czas przygotowania: 25 minut

ĆEVAPČIĆI

1 kg mięsa mielonego wołowego, baraniego lub cielęcego
1 łyżka mielonego kminku
3 łyżki papryki słodkiej
1 duża cebula
1 łyżka oregano
1 łyżka rozmarynu
1 łyżka tymianku
3 jajka
3 ząbki czosnku

TZATSIKI:

jeden duży ogórek świeży
duży jogurt naturalny gęsty
sól
pieprz
czosnek
pieprz, sól

Sposób przygotowania:

Mięso wymieszać z jajkami, papryką, czosnkiem i cebulą. Całość podzielić na trzy części, do jednej dodać kminek, do drugiej oregano i tymianek, do trzeciej rozmaryn. Z mięsa z przyprawami

formować podługzne „kotleciki” i nabić na patyczki do szaszłyków. Przygotować sos: obranego ogórka zetrzeć na tarce o grubych oczkach, odcisnąć sok. Dodać jogurt i przyprawy.

W ostatnich latach coraz popularniejsze staje się podróżowanie kajakiem – czy to krótkie jednodniowe wycieczki, czy tygodniowe spływy. Kajaki widać na jeziorach, rzekach, nawet na morzu. Chcąc Państwa zachęcić do tego rodzaju aktywności, którą z powodzeniem można uprawiać z całą rodziną, prezentujemy kilka najpotrzebniejszych produktów.



Cena: od 75 zł do 121 zł
www.makanu.com.pl

CREWSAVER ARAN

Wodoodporne worki wykonane z wysokiej jakości przezroczystego i wytrzymałego winylu. Znajdują zastosowanie w sportach wodnych i turystycznych wyprawach. Pojemność: 5, 10, 20, 40 i 50 l.

Cena: 390 zł
www.henrilloyd.pl



CREWSAVER DRY CASE

Wodoszczelne opakowanie z twardego tworzywa. Idealne do zabezpieczenia telefonu komórkowego/urządzenia elektronicznego przed kontaktem z wodą. Pojemnik jest hermetycznie zamknięty i nie tonie. W komplecie regulowany pasek. Wymiary 7 cm x 4 cm x 13,5 cm.



HENRI LLOYD PACE SMOCK

Bluza z oddychającego i w 100% wodoodpornego materiału TP. Przy szyi i rękawach znajdują się gilzy chroniące przed dostaniem się wody. Posiada dużą kieszeń z przodu i małą na rękawie. Funkcjonalnie i elegancko – typowe dla marki Henri Lloyd.

Cena: 29 zł
www.makanu.com.pl

Cena: 413 zł
www.makanu.com.pl

YAK XIPE 55N

Wygodna, nieograniczająca ruchu ramion kamizelka do kajakarstwa. Przemysłowa i ergonomiczna konstrukcja. Wysoka jakość materiałów i wykończenia. Supermiękką pianką Supersoft Foam 3D. Pełna regulacja w talii i na ramionach – 5 punktów regulacyjnych. Kamizelka jest zamykana z przodu na zamek i dodatkową klamrę. Posiada dwie kieszenie zamykane na zamek – jedna z nich kompatybilna z radiem UKF. Z tyłu kamizelki duża kieszeń idealna na bukłak na wodę oraz taśmy odbłaskowe. Wyporność 55 N. Zgodna z normą ISO 12402-5.



YETI BOULDER 300

Śpiwór Boulder 300 dry to świetna propozycja na letnie, wiosenne i jesienne spływy. Jest odporny na wilgoć, lekki i ciepły, a po spakowaniu zajmuje bardzo mało miejsca. Doskonale kompresowalny, lekki i ciepły wypełnienie, jakim jest naturalny puch (przy temperaturze komfortu 0 °C waga śpiwora to tylko ok. 750 g, a rozmiary po spakowaniu 15x21 cm. Tkanina zewnętrzna z oddychającą i odporną na wilgoć membraną (8000 mm słupa wody), podszewka z antybakteryjną srebrną nicią, która pozwala uniknąć nieprzyjemnego zapachu potu.

Cena: 754 zł
www.yeti.com.pl



sprawdź ceny

ceneria.pl
outdoorowa porównywarka cen



Cena: 559 zł
www.polana.pl

KATADYN VARIO

To filtr wody łączący w sobie dużą wydajność z możliwie najprostszą obsługą. Zastosowana technologia opiera się na trzech etapach filtrowania: poddanie działaniu wysoce wydajnego włókna szklanego, ceramicznego filtra wstępnego, który może być regulowany w różnym stopniu ze względu na zamulenie wody oraz węgla aktywowanego, który eliminuje zły zapach. Użytkownik, który potrzebuje uzyskać 2 litry wody pitnej w minutę, z powodzeniem może użyć filtrów z włókna szklanego i węgla aktywowanego. Jeżeli woda jest bardzo mętna, to ceramiczny filtr wstępny pomoże wydłużyć czas użytkowania filtra z włókna szklanego.

EXPEDITION 50 LIFESYSTEMS

Najsilniejszy środek przeciw komarom dostępny w Polsce. Świetnie sprawdza się w rejonach, w których występuje dużo komarów, oraz w krajach tropikalnych. Odstrasza mszki, kleszcze, komary i wszystkie inne insekty latające. Zawiera 50% środka Deet. Dostępny w pojemnikach 50 ml oraz 100 ml.



Cena: 38 zł / 50 ml
www.e-busola.pl

KUPIŁKA

KUPIŁKA to po fińsku mały kubek. Ma też związek z terminem używanym przez Finów dekady temu, kiedy mężczyźni i kobiety ogrzewali ręce swoimi kupilkami, pijąc gorące napoje w czasie ciężkiej zimy. To kubek z drewna kompozytowego o pojemności 210 ml i wadze 85 g. Można go myć w zmywarce. Ciekawy design i ekologiczne wykonanie – dobra propozycja na prezent.



Cena: 79 zł
www.kupilka-products.com

KAJAK YAK

Dwuosobowy dmuchany Kajak Yak jest idealny na krótsze i dłuższe wyjazdy. Łatwy w transporcie – mieści się prawie do każdego samochodowego bagażnika, na żeglówce, łodzi motorowej czy w samochodzie kempingowym. Prosta konstrukcja umożliwia złożenie kajaka w kilka minut. Wystarczy rozłożyć kajak, napompować na początku dwa dmuchane siedziska i następnie dwie niezależne komory. Kajak wyposażono w dodatkowe zaczepy na wiosła, do przytrzymania dodatkowego bagażu czy ekwipunku na piknik. Przezroczyste dwa panele w dnie kajaka pozwalają obserwować podwodny świat – niezależnie, czy jesteś na spływie Krutynią, na wodach w Chorwacji czy w skandynawskich fiordach.



Cena: 1790 zł
www.makanu.com.pl

We wspinaczce przestało być ważne, czy jest się pierwszym zdobywcą – dziś liczy się stopień trudności zdobywanej skały.

W przewodnikach wspinaczkowych można znaleźć informacje, dzięki którym dopasuje się trudność skały do swoich możliwości, według zasady „każdemu jego Everest”. Dzięki temu, wspinaczka to zajęcie dla każdego.

Grzegorz Mróz

INSTRUKTOR WSPINACZKI SKALNEJ PZA
W SZKOLE WSPINANIA GOUP.

NA WĘDKĘ I OD DOŁU

Można wpinać się dwoma sposobami. Z asekuracją odgórną – „na wędkę”, gdzie uprzednio zakłada się linę przez stanowisko asekuracyjne znajdujące się na wierzchołku skały. Gwarantuje to zawiśnięcie na linie w tym samym miejscu, w którym puści się skałę. Jednak, by można było założyć taki system asekuracji, potrzeba skały nie większej niż połowa długości liny. Przypomina to trochę łowienie ryby. Na ziemi stoi „rybak” i za pomocą „wędki” – liny, likwiduje zbędny luz liny przełożonej przez karabinek w najwyższym miejscu skały. Wspinacz poruszając się po skale, zmniejsza ilość liny pomiędzy asekurującym partnerem.

Zupełnie innym rodzajem asekuracji jest asekuracja oddolna. Tu wspinacz poruszając się do góry, ciągnie za sobą linę wydawaną przez asekuranta. Co pewien odcinek drogi wpina linę do umieszczonych w skale punktów asekuracyjnych. Dzięki temu zmniejsza ryzyko osiągnięcia ziemi podczas odpadnięcia od skały.

Te dwie metody stosowane są w zależności od tego, w jakim stylu chce się pokonać drogę wspinaczkową. Wędka to domena rekreacyjnego podejścia do wspinania. Warto zapoznać się z zasadami budowy i obsługi systemów

DO GÓRY!



asekuracyjnych, a nie jest to wiedza, którą uda się zdobyć podczas lektury podręczników typu „jak to zrobić w weekend”. Czas trwania podstawowego szkolenia skałkowego to 4 – 7 dni. O poziom takich szkoleń dba Polski Związek Alpinizmu.

Czytając opowieści z czasów pionierów alpinizmu, wielokrotnie spotkać się można z historiami o pękniętych linach. Do tej pory kursanci pytają, jaka jest ich wytrzymałość. Tymczasem liny wspinaczkowe – przy odpowiednim zastosowaniu – nie pękają. Każda lina wspinaczkowa skonstruowana jest tak, by pochłonąć możliwie dużo energii, która powstanie w czasie hamowania lotu wspinacza i to jest jej zasadniczy parametr. O żywotności liny świadczy również sposób obchodzenia się z nią, jej przechowywanie i historia użycia.

ROCKSY, HEKSY I INNE SPRZĘTY

W skałach nie używa się haków jako punktów asekuracyjnych. Ich zamienniki to: rocksy, heksy, tricamy, friendly. Chociaż te nazwy nie nie mówią laikowi, to bezpieczeństwo wspinacza podczas odpadnięcia od skalnej ściany zależy od ich solidności. Jednak to nie tylko sam sprzęt, ale również umiejętności użycia go w skalnych rysach, gwarantują bezpieczną wspinaczkę. Nie należy zapominać również kasu, który chroni głowę, także przed słońcem.

Podczas pokonywania skalnych ścian, elementem łączącym linę z punktami asekuracyjnymi są karabinki. Obecnie ich waga sugerować może, że zrobione zostały z papieru, ale wciąż jest to stop aluminium. Rozróżniamy karabinki osobiste, które posiadają blokadę zamka i karabinki połączone ze sobą taśmą, zwane ekspresami.

Podstawowy zestaw wyposażenia dla dwóch osób do rekreacyjnego wspinania w skałach to: dwie uprząże, dwa kaski, jedna lina, buty wspinaczkowe, kilka taśm różnej długości, 3 karabinki z blokadą zamka i przyrząd asekuracyjny. Ten zbiór elementów pozwala na wspinanie się z odgórną asekuracją. Uzupełniając go o 12 ekspresów oraz sprzęt do asekuracji, można pokonać każde urwisko. Wydatek związany z zakupem podstawowego sprzętu to 1300 zł.

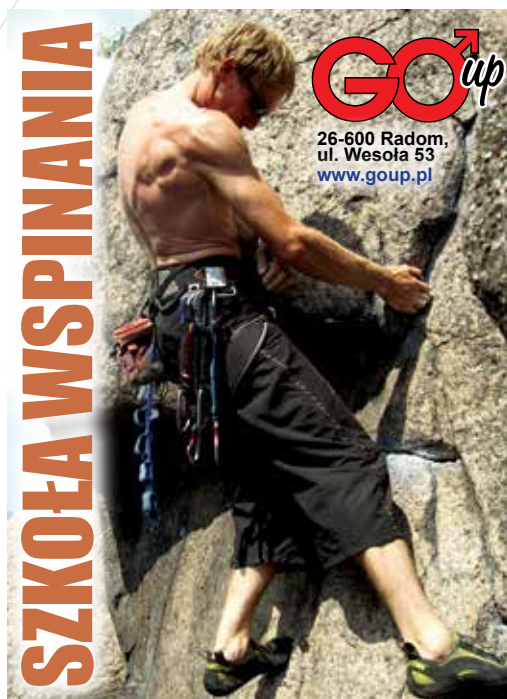


GDZIE SIĘ WSPINAĆ

W Polsce są dwa duże skupiska skalne: Jura Krakowsko – Częstochowska i Góry Sokole wraz z Rudawami Janowickimi. W każdym z nich spotkać można tłumy wspinaczy, dla których każda wolna chwila stanowi dobry pretekst, by związać się liną. Wiele miejscowości u podnóża tych skalnych rejonów zapewnia doskonale zaplecze turystyczne.

Kiedyś wspinaczka skalna była pierwszym krokiem w góry najwyższe. Dziś być może nie każdy chce zdobyć Everest, ale każdy chciałby wejść na niezdobytą skałę.

No to naprzód, a raczej – do góry!



KONKURS

Szkoła wspinania **Goup** ufundowała weekendowy kurs wspinaczkowy.

Pytanie konkursowe:

KOMU KINGA BARANOWSKA
POŚWIĘĆ, ZDOBYCIE SZCZYTU
LOTHSE?

Pierwszy Prenumerator, który przyśle poprawną odpowiedź, wygra kurs dla dwóch osób.

Na odpowiedzi czekamy do 8 lipca br. pod adresem: redakcja@poznaj-swiat.pl

W temacie wiadomości prosimy wpisać „konkurs”.

W rytmie Waka Waka?

Leżący dziś na Ukrainie Truskawiec do 1945 roku należał do Polski. W 1836 roku rozpoczęła się budowa łaźniek zdrojowych. W czasach II Rzeczypospolitej Truskawiec uznawany był za bardzo modne uzdrowisko. Wypoczywał tu między innymi Józef Piłsudski.

Na zdjęciu z 1930 roku: kąpielisko siarczano-solankowe Truskawiec-Pomiarki, kuracjusze podczas lekcji tańca prowadzonej przez Samę, Murzyna z zespołu Kataszka.







BURKINA FASO



POLSKA



SRI LANKA

Poznaj Świat

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski

dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl • tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego

Katarzyna Rojek

katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl • tel. 501 602 401

Sekretarz redakcji

Julia Michalczyńska

redakcja@poznaj-swiat.pl • tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy

Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Agnieszka Bartusiak, Paweł Chara,
Grzegorz Kapla, Romuald Koperski, Robert Mazurek,
Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Grafika DTP & Prepress

Artur Bury

Adres redakcji

80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17

e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl

www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo

PROBIER sp. z o.o. sp.k.

80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazuruwa 7

Koordynator do spraw wydawniczych

Beata Pernak

tel. 583 508 464

www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

PRENUMERATA KRAJOWA

numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT BRXPPLPWGDA



facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama

Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Artur Matys
tel. 663 737 162

Olga Kołakowska
tel. 501 050 624

Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie odpowiada
za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

NAJWIĘKSZE W POLSCE TARGI SPORTOWE



26-28 lipca 2012



KIELCE SPORT-LATO

XXVI Międzynarodowe Targi Branży Sportowej i Outdoorowej

www.lato-sport.pl

2-4 października 2012

KIELCE BIKE-EXPO



Międzynarodowe Targi Rowerowe

www.bike-expo.targikielce.pl

- ♦ Premiery
- ♦ Nowości Rynkowe
- ♦ 100% Biznesu

Grzegorz Figarski - Dyrektor Projektu Kielce Sport-Lato
Tel. +48 41 365 12 33, Fax.: +48 41 365 13 10
e-mail: figarski.g@targikielce.pl

Joanna Marcjan - Dyrektor Produktu Kielce Bike-Expo
Tel. +48 41 365 12 43, e-mail: marcjan.j@targikielce.pl

TARGI KIELCE S.A. ul. Zakładowa 1, 25-672 Kielce
WWW.TARGIKIELCE.PL

Jeszcze masz szansę na urlop marzeń

od **3306 PLN** / osoba

Turcja – Riwiera Turecka

Hotel Club Tropical Beach ****

All Inclusive, 11 dni, wylot 04.08.2012 z Warszawy



od **2657 PLN** / osoba

Wyspy Kanaryjskie - Fuerteventura

Hotel Aloe Club ****

All Inclusive, 1 tydzień, wylot 26.08.2012 z Warszawy i Wrocławia



od **2497 PLN** / osoba

Grecja - Kreta

Hotel Sissi Bay ****

All Inclusive, 1 tydzień, wylot 12.08.2012 z Wrocławia, Rzeszowa, Łodzi, Warszawy, Gdańska, Poznania, Bydgoszczy, Katowic



od **2297 PLN** / osoba

Egipt - Marsa Alam

Sol y Mar Solaya ****

All Inclusive, 1 tydzień, wylot 31.08.2012 z Warszawy i Katowic



Liczba ofert ograniczona. Szczegółowe informacje na temat wybranych hoteli dostępne na www.tui.pl.

Skorzystaj z wakacyjnej wyprzedaży!

zadzwoń pod numer
801 884 801

sprawdź adresy biur na
www.tui.pl



TUI

Bez troskie wakacje